



ROK LIX

Nr 38

TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, DNIA 18 WRZEŚNIA 1926 ROKU

TREŚĆ NUMERU: Rozbudowa miast—*a. n.* Z cyklu „w Sieradzkim”: Klasztor Sióstr Urszulanek — *C. Walewska*. Z dzienniczka nauczycielki—*Salomea Kisielewska*. Wiersze: „Przed północą”, „Prawda”—*Lucjan André*. Powrót z balu—*Henry Bordeaux*—*tłum. z francuskiego W. M.* Kierownik menaży—*G. O. Gallo*—*tłum. T. J.* Jeden dzień na Maderze (kartka z higieny miłości)—*c. d.*—*autor. przekł. T. Jakubowicza*. Córka Boga (*c. d.*)—*Z. Zawiszanka*. Zjazd katolicki—*Z. G.* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z książek—*K. Bielańska*. Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Najmodniejsze parawany. List z Paryża — *Sekwa*. Polska współczesna. Mieszkanie i jego kultura—*A. n.* Reforma gospodarstwa domowego—*Felicja Sachsówna*. Bukiety — *X...ska*. Jak ustrzec się od ukąszenia złośliwych owadów i jak te ukąszenia leczyć — *J. S. Gruszki*—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Jej imię” — *Concha Espina* (autor. przekład z hiszpańskiego T. Jakubowicza) Arkusz wzorów.

ROZBUDOWA MIAST



Jeszcze w początkach bieżącego stulecia niewielu ludzi interesowało się rozbudową miast. Uważano tę sprawę początkowo za specjalność inżynierów i geometrów, których rzeczą jest dbać o to, by w nowych dzielnicach miasta ulice były dość szerokie dla zapewnienia swobody wzrastającemu ruchowi ulicznemu, a odpowiedniej ilości światła i powietrza domom przy tych ulicach wznoszonym. W tym samym czasie jednak rozpoczęła się szybka rozbudowa wielu miast w Anglii i na kontynencie Europy. Rozbudowa ta postępowała pod hasłami estetyki: przeprowadzano nowe i poprawiano dawne linje ulic i placów dla nadania właściwej perspektywy nowym monumentalnym gmachom o wspaniałych fasadach, wznoszono coraz więcej kamienic o bogatym wyglądzie zewnętrznym. W gruncie rzeczy jednak mało dbano o to, jak się będzie żyło mieszkańcom tych domów, które na tyłach tych mniej lub więcej wykwintnych frontów mają ciasne podwóreczka, skutkiem czego kosztowne, t. zw. u nas nowoczesne mieszkania pozbawione są najczęściej słońca i powietrza.

I dopiero ostatnie lata przed wielką wojną przyniosły przekonanie, że przy planowaniu miast musi mieć głos higiena. Dla zdrowia publicznego nie wystarczy uwzględnienie warunków zdrowotnych w poszczególnych domach, z myślą o nich muszą powstawać całe dzielnice. Najlepsze pomysły rozbiły się jednak o drożyznę placów, które w wielkich miastach—

między innymi — w Warszawie i Łodzi — stawały się przedmiotem najwyuzdańszej spekulacji, ale tam, gdzie samorząd miejski istniał od dłuższego czasu i posiadał zrozumienie właściwych swych zadań, miasta rozwinięły rozumną politykę mieszkaniową, zmierzającą do stworzenia dzielnic pobudowanych w sposób higieniczny, przy cenach mieszkań lub nawet całych domków udostępnionych dla różnych warstw ludności. W Anglii, w Niemczech i w Belgii potworzyły się miasta-ogrody, oparte o kooperatywy budowlane jednoznaczne z samorządem miejskim lub silnie na nim wsparte.

Pierwszem w czasie takim miastem-ogrodem było Letchworth w Anglii. Pierwszem jako wzór, przodujący całemu światu, jest dziś również miasteczko angielskie, wybudowane już po wojnie, Welwyn. Miasteczko to jest tak rozplanowane, że oddzielnie położona jest właściwa dzielnica mieszkaniowa, oddzielnie zaś dzielnice przemysłowa i handlowa, przyczem wszystkie trzy otoczone są szerokim pasem uprawnych pól i ogrodów. Całość stanowi własność spółdzielni, rozwijającej swą działalność w dalszym ciągu w różnych kierunkach: jako kooperatywa spożywcza, jadłodajnia spółdzielcza, spółdzielnia ogrodniczo-rolnicza i t. d.

Niemcy z właściwą sobie umiejętnością przyswajania cudzych pomysłów i korzystania z nich, zaznały się wybitnie w dziedzinie wznoszenia miast-ogrodów jeszcze przed 1914 rokiem. Co jednak bardziej godne podziwu, to fakt, że ruch ten, zahamowany na czas wojny, wznowiony został zaraz po jej

ukończeniu, mimo ogromnego ogołocenia kraju z zasobów materialnych i sił do pracy. Okres inflacji wykorzystano tam znakomicie dla nawiązania w szerszych jeszcze rozmiarach ruchu budowlanego. Wpędce zwyciężonemu państwu zaczęto nanowo okazywać zaufanie finansowe i dla miast jego posypały się pożyczki amerykańskie. Niemieckie miasta, zaciągnawszy je, pokryły wszelkie luki, jakie lata wojny musiały wyszczerbić w dziele polityki budowlanej. Wzniesiono szereg bogatych, imponujących gmachów publicznych, a jednocześnie pobudowano dzielnice małych, tanich, wygodnych domków. Międzynarodowa wystawa budowy miast w Göttingu w 1923 roku zdążyła już pokazać, czego dokonano od zawarcia pokoju. Na wystawie tej uwydatniła się ogólna nowa linja w budowie miast, przy której główny nacisk kładzie się na higienę i wygodę różnych warstw ludności miejskiej.

Tendencje te jeszcze silniej uwytkliły się na międzynarodowym kongresie budowy miast, który odbył się w 1924 roku w Amsterdamie. Wzięło w nim udział 500 fachowców z tej dziedziny, reprezentujących 20 różnych państw. Jednomyślna uchwała tego kongresu przedewszystkiem potępiła dotychczasowy rozwój wielkich miast jako niewłaściwy, następnie postawiła żądanie ich możliwej centralizacji, która może się oprzeć jedy-

nie na odpowiednim ujęciu sprawy placów, wreszcie, idąc dalej w kierunku wytkniętym, wypowiedziała się za opracowaniem planów rozbudowy nie tylko w obrębie miasta, lecz w obrębie całych okręgów, o ile są one silnie uprzemysłowione i, co zawsze idzie w parze, gęsto zaludnione.

Najbliższy międzynarodowy kongres budowy miast odbędzie się we wrześniu r. b. w Wiedniu. Na porządku obrad postawiono zasadnicze zagadnienie placów oraz kwestję domów jedno i wielomieszkaniowych. Uczestnicy kongresu mają zwiedzić parę miast w Austrii. Po zamknięciu zaś kongresu projektowana jest dziewięciodniowa wycieczka po miastach niemieckich, zorganizowana przez niemieckie stowarzyszenie miast-ogrodów.

Należy tu zaznaczyć, że sam Wiedeń, mimo niezmiernie ciężkich warunków swej egzystencji powojennej, jako 2 milionowa stolica państewka, liczącego 6 milionów mieszkańców, może się pochlubić wybitną pracą na polu racjonalnej rozbudowy. Przed kilku tygodniami odbyła się tam uroczystość położenia kamienia węgielnego pod dom, który będzie zawierał 25-tysięczne mieszkanie z serji, której budowę rozpoczęto w końcu 1922 roku.

Piszemy to wszystko z goryczą w sercu, z powodu stosunków, jakie u nas panują...

a. n.



Z CYKLU „W SIERADZKIEM“

KLASZTOR SIÓSTR URSZULANEK



yl wyjątkowo pogodny i upalny dzień w drugiej połowie deszczowego czerwca, kiedy pani W., jedna z ziemianek, zaproponowała mi zwiedzenie klasztoru Sióstr Urszulanek w Sieradzu, wskrzeszonego z rumowisk, dzięki nadludzkim wysiłkom Matki Marji Ledóchowskiej.

— Mateczka jest tam właśnie od wczoraj. Wyjeżdża jutro — Zapewne chciałyby ją pani poznać? — Porozumiałam się z Siostrami. Obiecały nam wyjednać widzenie.

W godzinę potem już zajęchałyśmy przed klasztor, który powitał nas smukłą renesansową wieżyczką.

Cztery lata temu jeszcze znika ściana szczytowa z przeslicznymi arkadami krużganków w gruzach. Cegła rozkradziona. Schody z wewnątrz zapadnięte. Połogi przegniłe. Drzwi powyrywane na opał. Okna bez szyb. Gniazdo nietoperzy. Sarabandy wichury. Dziś — patrzą radośnie szare mury z pod czerwonej dachówki — całe, zdrowe, jak gdyby nie przeszedł nad niemi huragan zniszczenia.

W sali przyjęć słońce i kwiaty. Po chwili wchodzi Siostra Rodziewiczówna i zapowiada nam przybycie Matki Ledóchowskiej. Prosimy o pokazanie nam

przedtem jeszcze szkoły tkactwa, żeby nie potrzebowała trudzić się oprowadzaniem Mateczka.

Jest jeszcze rekowalescentką po przebytej niedawno chorobie. Bawiąc wiosną w Rzymie, uległa pęknięciu kości w nodze. Leczona źle, cierpiała bardzo. Dopiero w kraju odbyła prawidłową kurację. Wstała niedawno i już mimo zakłęt otoczenia, objeżdża wszystkie domy swoje.

Była już 5 po poł. Nauka tkactwa skończona. Kilka warsztatów jeszcze obsadzonych przez pracowita i niezmordowane tkaczki. Reszta połyskuje barwną tęczą rozpoczętych kilimów, pasiaków, zapasek. Kierowniczką szkoły pokazuje nam dywan w kwiaty stylizowane, utkany na zamówienie i sztandar zakładu, jak misterny gobelin, cały w subtelnym tonie, i szare płótna — ręczniki, serwety o bardzo misternych deseniach, i stroje włóścianek sieradzkich — spódnica z wyciętymi stankami bez rękawów do bluzek bufiastych. Wszystko bardzo ciekawe, bardzo artystyczne, rozchwytywane przez ludność miejscową i okoliczną z pod ręki. Szkoła więc pracuje na siebie i trwa na zasadach samowystarczalności.

Wracamy do sali przyjęć, gdzie po chwili witamy Mateczkę. Szczupła, średniego wzrostu o jasno błękit-

nych oczach, uśmiech ma czarująco dobry i słodki. Pełna szlachetnej prostoty, mówi zlekka cudzoziemskim akcentem, jak człowiek, który dużo przebywał zagranicą i miał w ciągłym użyciu kilka obcych języków. (Matka L. włada biegle siedmioma).

SS. Urszulanki w jej „domach“, które mają charakter instytucji otwartych, nie noszą przyjętych habitów. Strój ich i samej Matki przełożonej składa się z szarej, lekko nadmarszczonej spódnicy i przewiązanej w pasie bluzki, z małego czarnego czepeczka na zczesanych z czoła mocno włosach. I nic więcej. Krzyż na piersiach. Pozatem żadnych malowniczych efektów. Wielka prostota. Jak gdyby rozmyślne odwracanie uwagi od postaci zewnętrznej.

Błękitne, młode oczy Matki patrzą spokojnie, łagodnie, ale — zdaje się — jednym rzutem obejmują całość kształt nie tylko wzrokowego obrazu lecz i wewnętrzna treść istoty czy rzeczy, zamykając w sobie sąd prawcowitej myśli.

Poprosiłam o krótki w chronologicznym porządku życiorys. Z dziwną przenikliwością zrozumiała, że chodzi o syntezę działalności, której poszczególne tylko wyniki znane są ogółowi naszemu. Ten i ów etap niezmordowanej energii, której bezpowrotnie poddają się wątłe siły fizyczne. Rzeźwo, rzeczowo nakreśliła obraz dokonań swoich w ciągu lat kilkudziesięciu. Logiczny umysł nie błąkał się po labiryntach wspomnień. Rok po roku sumowała czyny swoje, nie podkreślając ich znaczenia, bo były jak życie samo, twarzą, niezbędną koniecznością*).

Godzina rozprawy z Mateczką i kierowniczką „domu“ w Sieradzu minęła, jak jedna chwila.

Któraś Siostrzyczka cichutko, prawie niewidzialnie wniosła podwieczorek. Olbrzymie, przepyszne truskawki z klasztornej wirydarza, doskonałe ciastka domowego wypieku, herbatę. Pokrzepione udałyśmy się na zwiedzanie klasztoru. Mateczka nawet słuchać nie chciała, aby nas nie oprowadzać.

— Po to przyjechałam, żeby zobaczyć jak tu jest, a jeszcze nie zobaczyłam całego klasztoru.

Zaczynamy od góry. Ochrona. Wielka sala. Ogromny stół po środku. Kajety, książki, robótki. Już po godzinach zajęć! Kilka puciołowatych dziewcząt jeszcze tylko coś robi. Okazy, które na wystawie higieny wychowania otrzymałyby z pewnością pierwsze nagrody. Internat. Jasna o kilku oknach sypialnia. Czyściutko zasłane łóżka. W każdym kąteczku, wzorowy porządek i schludność.

Cztery lata temu gruz, rumowisko. Dziś — ognisko pracy.

Mijamy długie, wąskie korytarze, zostawiając za sobą cele klasztorne, do których obcy nie mają wstępu! Mamy zejść na dół, ale Mateczka przystaje.

— Muszą panie jeszcze coś zobaczyć.

I po prostopadłych jak drabina schodach prowadzi nas na strych. Z okien wielkiego prawie na cały klasztor poddasza roztacza się widok na szmaragdowe łągi nadwarciańskie. Szeroki, a smętny. Słońce nad trawami pastwisk i czubami drzew. Łódzie spacerowe wzdłuż Warty. Kępy wierzb, olch, topoli pod rzeką i na skrajach łąk. Porykiwania bydła. Domki wśród zieloności. chciałoby się patrzeć, patrzeć bez końca i doczekać dzwonka na Anioł Pański. Jak echem kołysz się w dal i rozświetnia cicho łągi. Jak zawraca myśl w przeszłość... Przetrwiał dzikie najazdy Mongołów, najścia Czechów i brandenburczyków, rabunek i pożogi krzyżackie. A tak-

że splendory zjazdów szlacheckich, sejmów, obioru królów, przysięgi na wierność Jadwidze. Dzwoni, dzwoni w złej i dobrej doli. Dzwonił Władysławowi II i Bolesławowi Kędzierzawemu, Leszkowi Czarnemu i Władysławowi Łokietkowi, Kazimierzom i Konradowi, których duchy błędzą nad miastem. Dzwonił, gdy Moskale skonfiskowali klasztor i zrobili z niego więzienie dla powstańców, a potem oddali w pacht żydom i w celach Ojców pobożnych osadzili czynowniczych swoich drapieżców. — Lecą wspomnienia. Oczów oderwać nie można od smętku krajobrazu. Widzę przeszłość. A nic tak nie chwyta, jak ta twarda polska dola.

Jednak czas nagli. Schodzimy ku przepięknym renesansowym krużgankom, pełnym słońca i jakiegoś ciepłego roztkliwienia. Otaczają klasztor i wsunięty w nie wielkim kwadratem wirydarz, cały w gorących złotych promieniach. We wgłębieniach ścian stacje Męki Pańskiej — stare nieudolne obrazy.

— Ach, zdobyć na ich miejsca jakieś arcydzieła pędzla lub rzeźby! — marzy głośno Mateczka. A marzenia Jej, to już czyn dokonany. Nie upłynie rok, dwa lata, kiedy we wnękach białych murów rozelkają się dzieje Golgoty, wyśnione przez natchnionego artystę.

Jeszcze przegląd zabudowań gospodarczych i rzut oka Matki Marji na różne braki. Krowa nie ma obórki. Czeka na nią cierpliwie w prowizorycznej szopie. — Jedna barbarzyńsko zamurowana boczna arkada musi być jaknajprędzej odsłonięta. — Powitanie ze strażniczką dóbr klasztornej, suką wilczycą na łańcuchu. S. Rodziewiczówna podaje Matce szczenięta. Gładzi je, pieści, ale wzdycha: „Nierasowe“.

Wprost z podwórza szkoła. Widne czyste, wysokie sale, w tej chwili puste. Pełno pomocy szkolnych. Na ścianach portrety naszych bohaterów i wieszczów. W słońcu na framudze okna białe kotek z wstążeczką na szyi. Bierze go w ręce mateczka i mówi do niego, a on odpowiada rozkosznym mručeniem.

Ostatni etap wędrówki — kościół, do niedawna zapuszczony, dziś lśniący czystością białych murów. Wyrzucono sztuczne kwiaty i poustawiano w wazonach świeże — z ogródka własnego i z darów pobożnych. Ołtarze pod osłoną wzorzystych kilimów. Cisza. Czerwone światelko przed głównym ołtarzem. Nastrój poważny, głęboki.

Ale Matka Ledóchowska idzie z postępem czasu. Wszędzie, we wszystkich „domach“ swoich wprowadza techniczne ulepszenia. Gdy po raz pierwszy na Matkę Boską Różanicową ubiegłego roku, rozbrzmiał klasztor i kościół Sióstr Urszulanek (dawniej Dominikański) światłem elektrycznym, padł lud sieradzki na kolana w zachwycie i śpiewem serdecznym, dziękował za zjawę. Z promieni blasków patrzyły na tłum wiernych słodkie oczy Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku i błogosławiły go.

— Należy ci się, ludu sieradzki, to błogosławieństwo po dniach wiekowej męki, po wrogich najazdach i grabieżach, po spustoszeniach i pożogach tatarskich, mongolskich, pruskich. Po zbezczeszczeniu świątyni przez rząd moskiewski. Należy ci się życie w zbożnym spokoju i pracy. O to zanoszą modły Siostry pobożne. W tym celu stanął wśród was wskrzeszony klasztor — strażnica pokoju, ostoja wiary, czuj — duch sumień naszych,

C. Walewska.

* Sylwetkę Matki Ledóchowskiej według danych, dostarczonych przez nią samą, podamy w najbliższym numerze „Bluszczu“.



Z DZIENNIKA NAUCZYCIELKI

Córka wyrobnika.

Wstąpiła do seminarjum nauczycielskiego. Była niezdolna i nierozwinięta, ale pracowała tak zaciekle, że kurs opanowała,

Codzień o świcie biegła w podartem, nigdy nie wysychającym obuwiu z Powiśla do śródmieścia po wiedzę. Do późna wieczór pozostawała poza domem o suchym kawałku chleba i zupce z darów amerykańskich. Program Seminarjum wymaga znajomości jakiegobądź instrumentu muzycznego, więc chodziła do Tow. Muzycznego, a w domu, narysowawszy sobie klawiszem na stole, „ćwiczyła“ całemi godzinami.

Dzisiaj jest już od kilku lat nauczycielką na wsi i wie dzie jej się jako tako.

Ładna panienska zdobyła serce młodego gospodarza — właściciela 3 włókowego gospodarstwa oraz ładnego nowocześnie urządzonego domu. Stara się o jej rękę już trzeci rok, odrzucając partje posażne.

Proponuje, że sprowadzi do swojego domu szkołę z sąsiedniej wsi, aby po zamążpójściu mogła nadal pracować w swoim zawodzie.

Jest ciągle niezdecydowana.

— Dlaczego — pytam — czy może on się Pani nie podoba?

— Owszem, podoba mi się, jest bardzo ładny.

— Może nieokrzesany, gbur..?

— Przeciwnie, bardzo inteligentny; był już w czwartej klasie gimnazjum i pragnie, abym go uczyła dalej.

— Przecież, jako kobieta, może mieć Pani ogromny wpływ na zorganizowanie całego domu, na racjonalne postępowe prowadzenie gospodarstwa. Możecie promieniować na całą wieś, jako ośrodek kultury.

— Tak, on też mówi coś w tem rodzaju.

— A więc?!

— Proszę Pani, to jest za niska sfera... żeby był bodaj urzędnikiem, albo nauczycielem...

* * *

W okresach upadku wiary w wartość moralną człowieka oraz w skuteczność doktryn politycznych ogromnie wzrasta zainteresowanie się szerszego ogółu sprawami wychowania i nauczania.

* * *

Rok 1911.

Był to pierwszy rok mojej praktyki nauczycielskiej.

Asystowałam właśnie, jako wychowawczyni, na lekcji geografji, wykładanej przez znanego wówczas profesora, obecnie wyższego urzędnika Min. ośw., pana J.

Chłopcy i dziewczęta (była to Szkoła koedukacyjna) w wieku lat 11 — 12 rozdokazywani, rozswawoleni po nad miarę. Aż w pewnej chwili dziwna cisza zaległa nagle tę rozbawioną klasę. Profesor J. pochylony jakby do skoku, kocimi krokami zaczął skradać się do tablicy. Dwuch chłopców z przeciwległych kątów sali na palcach poskoczyło ku mapie i błyskawicznie zwinęło ją w rulon.

Chwila nasłuchiwania

.....
a potem, mapa znowu zawieszona i znowu figle i śmiechy.

To zabrzmiał w przedpokoju dzwonek — profesor i dzieci sądzili, że wizytator, a geografję wolno było wykladać tylko w języku rosyjskim.

Ta cicha, poważna solidarność uczniów i nauczyciela w walce z przemocą robiła wstrząsające wrażenie.

Mam lekcję w innej znów klasie. Klasa ma dwie drzwi. Nagle otwierają się drzwi od przedpokoju i staje w nich dyrektor szkoły, niosąc kapelusz o wielkim rondzie i płaszcz panny S. znanej nauczycielki historii Polski.

Wtargnął właśnie niespodziewanie wizytator, panna S. zdążyła uciec na schody kuchenne, ale trzeba zanieść jej okrycie i kapelusz, mam to właśnie uczynić ja, włożywszy je na siebie. W pierwszej chwili żądanie dyrektora wydaje mi się wprost niewykonalne, panna S. jest bowiem akurat dwa razy wyższa odemnie, a na dobitkę okrycie posiada tren. Ale na stanowczą prośbę dyrektora muszę to uczynić. Ujęłam więc poły płaszcza w obie ręce i hieratycznym krokiem podążyłam na schody kuchenne.

Rok 1925.

Nauka geografji i historii ma być wykładana w szkołach dla mniejszości narodowych w języku polskim.

* * *

Podobno w Japonji istnieje nagroda państwowa za wyszukiwanie wśród młodzieży jednostek obdarzonych talentem pedagogicznym, dla kształcenia ich w tym zawodzie.

Si non e vero e ben trovato. *Salomea Kisiełwska.*



LUCJAN ANDRÉ

PRZED PÓLNOCĄ

Zegar cyka... Czas stąpa... Poprzez szyb kwadraty
Do samotnego wnętrza izby mej zapada
Nostalgiczny czar srebrnej miesięca poświaty.
Jedyny mój towarzysz, stary zegar ścienny,
Odmierzył już połowę złej nocy jesiennej,
I wraz północ wydzwoni...

Noc Czarna, Zagłada

I Milcząca Samotność, — trzy moje siostrzyce,
Czekają mnie w dziedzińcu u zawartej wrót.

Wszyscy dziwnie pobladłe, białe mamy lice,
I wszyscy tak śmiertelnie jesteście dziś smutni.

Zegar cyka... Czas stąpa... — Cisza —
My czekamy...

Ja tutaj — w martwe srebro księżycy zakuty —
One zaś tam — w ciemnościach, u zawartej bramy,
W tajemnicy spowite mrok i sen głęboki.

Zegar cyka... Czas stąpa... Mijają minuty...
Chwila jeszcze — i tajne spełnią się wyroki.

Bowiem druh mój jedyny, stary zegar ścienny,
Odmierzył już połowę złej nocy jesiennej,
I wraz północ wydzwoni...

PRAWDA

Prawda jest niepozorna. Jest wierzwą pochyłą,
Z której kozy i kozły w otchłani bytu skaczą.
Dla dobrych — szumem fali, dla złych jest rozpaczą.
A dla wielu jest taka, jakby jej nie było.

Ktoś widział ją, jak wyszła z pewników ukrycia
I przez Forum Romanum szła z odkrytem czołem,
Usłyszał, gwarząc z wieków prochem i popiołem,
Śmierci pieśń nad milczeniem zgiełku tego życia.

Może mu się zdawało?... Odrzućcie, — o, mali
I tacy biedni ludzie, to wszystko, co wiecie!
Jesteśmy mniej lub więcej z tych, co śnią w sekrecie,
I z tych, co pokryjomu po nocach płakali.

Przez szkła łez waszych, po przez lat ciemnych pustosze,
Na ziemię z drogi mojej patrzę bezpowrotnej.
Wszystko snem było... Jawą... Tem i tem potrosze.
Prawdy poznałem tyle, ilem był samotny.



HENRY BORDEAUX

POWRÓT Z BALU

Państwo Damblave prawie wszystkie wieczory spędzali poza domem i nie wracali do swego mieszkania przy Avenue Hoche przed drugą, lub trzecią rano. Starali się bowiem tańcząc, wynagrodzić sobie czas stracony. A czas stracony, to była wojna. On, Roger Damblave, — lat dwadzieścia osiem — musiał porzucić golfa i tenisa, w których celował, dla okopów, a później dla tanków, albo raczej, żeby nie martwić generała Estienne, dla wozów szturmowych. Wywiązał się z tego jak wszyscy, to znaczy z honorem, nie znajdując w tem jednak, też jak wszyscy, wielkiej przyjemności. Ona, Mary Puygarde — lat dwadzieścia trzy — jedna z naszych najlepszych tenisistek, musiała spędzić parę lat na wsi, poczem uzyskawszy dyplom pielęgniarki, mogła wrócić do Paryża do jednego z modnych szpitali. Pobrali się latem 1918 roku w czasie rekonwalescencji lekko rannego oficera od tanków, chciałem powiedzieć, wozów szturmowych, a na samo zawarcie pokoju urodziło im się dziecko. Spełniwszy w ten sposób pod każdym względem swoje obowiązki patriotyczne, myśleli już tylko o sobie. Niania, którą właśnie opuścił był jakiś żołnierz, czuwała nad młodym Gastonem. Pokojowa mieściła się obok.

Pokoje tego personelu były połączone dzwonkiem elektrycznym z pokojem kucharki — żony szofera — mieszkającej na szóstym piętrze. Dzięki tej kombinacji, młoda pani Damblave bez żadnych już skrupułów mogła oddawać się swym tanecznym ewolucjom. Wystarczyło jej w zupełności, gdy po powrocie z zabawy — poszła uściskać niemowlę.

Otóż pewnego razu państwo Damblave wrócili do domu wcześniej, niż zwykle. Spędzili wieczór u księżnej de Lantillac, która, posłuszna woli arcybiskupa, wygnała ze swego salonu zamorskie tańce, zastępując je natomiast niezwykle podkasaną i pieprzną rewją, która się dość wcześniej skończyła. Nie było jeszcze dwunastej. Jak zwykle, nie zdejmując okrycia, pani Damblave pospieszyła do pokoju nianki przyrzec się swemu śpiącemu następcy. Po chwili jednak wybiegła w najwyższym wzburzeniu, wołając:

— Roger, Roger! tam niema nikogo!

Roger, który już się był przebrał w pyjama, nadbiegł, pytając ironicznie, tak mu się rzecz cała wydawała nieprawdopodobna;

— Jakto nikogo? A Gaston?

— Wyszedł.

— Przecie nie sam.

— Z nianką.

— Ale co też ty mówisz! Pewnie oboje są u Zosi.

Zosia to była pokojowa. Udano się do niej. Ale nie zastano i Zosi, a łóżko jej było niezastane, jak i łóżko nianki, zadzwoniono na kucharkę, ponieważ jednak nikt nie schodził — co za straszne chwile — pan osobiście udał się służbowymi schodami na górę. Spotkał się tam z Józefem szoferem, który wychodził właśnie od siebie bardzo zaniepokojony.

— Proszę pana, oświadczył głosem złowieszczym, bardzo złe czasy: moja żona do tej pory nie wróciła.

— A więc i kucharka także? rzekł Roger, przygnębiony. Chodźcie ze mną, przyjacielu.

To ciężkie doświadczenie zrównało ich. W takim oto towarzystwie wrócił Roger do rozpaczającej żony. Odbyto naradę z szoferem. Nie uległo wątpliwości, że całe towarzystwo wyszło razem, zabierając dziecko, ale w jakim kierunku? Należało natychmiast biec do najbliższego komisariatu policji, a może na-

wet do prefektury, prosząc o niezwłoczne zarządzenie pościgu.

— Ty, Mary, będziesz na mnie czekała tu, oświadczył Roger, odzyskując ton rozkazujący z czasów wojny. Józef niech idzie do garażu po auto.

— Ja ciebie nie opuszczę, rzekła błagalnie młoda kobieta.

— Niech tak będzie, pojedziemy razem.

Zanim podano samochód, Roger rozpoczął śledztwo od obudzenia konsjerżki. Czy zostało stwierdzone, że kucharka, pokojowa, niania i dziecko wyszli wszyscy razem? Nic nie zostało stwierdzone. Konsjerżka, w złym humorze, niechętnie odpowiadała na pytania. Czyż ona może odpowiadać za to, co się dzieje w domu, i to jeszcze w takim przyzwoitym domu? A zresztą, czyż to nie jest noc z soboty na niedzielę?

— Niewątpliwie, potwierdził pan Damblave. Ale co to ma do rzeczy?

— No, przecie w noc z soboty na niedzielę całe szóste piętro wychodzi. Niema nikogo.

— A dokądże to idzie szóste piętro?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Do jakiegoś dancingu przy ulicy Wagram.

— Bardzo dobrze! doskonale! zawołał pan Damblave, jakby ten cotygodniowy exodus szóstego piętra niezwykle go ucieszył.

Wróciwszy do żony, oświadczył z całą stanowczością:

— Twój syn się odnalazł.

— A gdzie jest?

— Tego jeszcze nie wiem, ale jestem na tropie.

Pani Damblave wsiadła do samochodu, podczas gdy mąż jej dawał instrukcje szoferowi:

— Józef pojedzie wzdłuż ulicy Wagram, zatrzymując się przed wszystkimi dancinami.

— Ależ, proszę pana, ich jest dużo.

— Nic nie szkodzi.

— Sądziłam, że jedziemy do komisariatu, zdziwiła się pani Damblave, słysząc ten dialog.

— Jeszcze się nie zdarzyło, żeby komisarze cokolwiek kiedy wykryli, zdecydował Roger, żona zaś poczęła uważać go za rodzaj Sherlocka Holmes'a.

Na ulicy Wagram zbadano bez skutku dwa czy trzy zakłady nocne. Było tam wprawdzie dużo służących, ale nie było dzieci.

— Widzisz, szepnęła Mary, tracąc znowu nadzieję. Jak możesz nawet sobie wyobrazić, żeby niania mogła zabrać dziecko do takiej dziury? Z pewnością porzuciła je i zostało nam skradzione. Gaston, mój mały Gaston!

Zaczęła płakać i robić mężowi wymówki za tyle wieczorów spędzonych poza domem, tak, jak gdyby ona sama towarzyszyła mu tylko przez uległość. Tymczasem samochód, po przejechaniu kilkudziesięciu kroków, znów się zatrzymał. Szereg różnokolorowych lampek elektrycznych wskazywał lokal rozrywkowy. Gdy państwo Damblave po kupieniu biletów zamierzali wejść na salę tańca, wydało im się, że słyszą z sąsiedniego pokoju krzyk dzieci.

— Gaston, westchnęła Mary.

I pociągając męża za sobą, otworzyła jakieś drzwi. Oboje zatrzymali się na progu, zdumieni widokiem, jaki się ukazał ich oczom.

Na materacach i rozestanych kołdrach leżało ze dwadzieścia niemowląt. Jedne spały, inne bawiły się lalkami i pajacami, inne znów płakały i darły się

w niebogłosey, — wszystkie pod opieką jakiejś kobiety w jasnej, mocno wydekoltowanej sukni. Kobieta ta niezwłocznie podeszła do państwa Damblave, pytając:

— Czy państwo mają numer?

Tymczasem pani Damblave po obejściu wszystkich bacherów przyciskała już do serca cudem odnalezionego Gastona, okrywając go pocałunkami i pieszczotami i płacząc z radości. Ale dozorczyńni przerwała tę scenę spotkania:

— Proszę o numer, powtórzyła sucho.

— Co za numer? zdziwił się Roger.

— Numer szatni. Nie bierze się dziecka tak sobie, bez numeru. Ten, jak państwa widzą, ma numer 15.

Pan Damblave chciał ją usunąć, przybierając ton wielce wyniosły.

— Proszę mi dać spokój z numerem. To jest nasze dziecko, któregośmy szukali i któreśmy nareszcie wykryli.

— Jeżeli to jest pańskie dziecko, to proszę mi pokazać numer.

Widząc jednak, że Roger i jego żona zamierzają zabrać Gastona przemocą, dozorczyńni otworzyła drzwi, wiodące do sali tańca i rzuciła głosem teatralnym:

— Kradną numer 15.

Na ten okrzyk, trzy kobiety jednocześnie przerwały cokolwiek namiętne tangó i porzucając tancerzy rzuciły się do szatni. Była to niańka, pokojowa i kucharka. Wszystkie trzy biegły na ratunek numeru 15, gdy raptem znalazły się w obliczu swych państwa. Pani Damblave, tuląc syna do wydekoltowanego łona, przyjęła je ostro:

— To wy go tak pilnujecie? Wypędzam was wszystkie trzy. Ale trzy kobiety tylko na krótką chwilę straciły kontenans, już bowiem kucharka, jako najbardziej wymowna, odzyskała głos:

— Pani mogła się przekonać, że był dobrze strzeżony.

— Rzeczywiście.

— Dowodem tego jest, że gdyby pani chciała go zabrać, toby pani nie mogła tego uczynić. Pani może nie jest wiadomem, że to jest porządny zakład najzupełniej solidny zakład.

— Dajmy na to, wmieszał się Roger.

— Nie inaczej. Jest tu szatnia dla dzieci, z numerami porządkowymi, zupełnie jak na wieczorach w wielkim świecie.

— Zatem numer 15? rzekł znowu Roger.

— Tak, proszę pana, numer 15. Każda z nas po kolei pilnuje dzieci, zabawia je lub usypia. Niema się czego obawiać. Pilnowane są, jak w domu.

— I to często oddawałyście się tym praktykom? zapytał Roger.

— Co sobotę.

— A więc to co sobotę mój syn tu bywał! obruszyła się pani Damblave.

— I był składany w szatni, jak parasol, lub laska, dodał jej mąż.

— Ale daleko staranniej, zapewniła niańka.

Zaś pokojowa, jako mająca więcej edukacji, wyciągnęła z przygody taki wniosek:

— Państwo wychodzą co wieczór. I co wieczór zostawiają pana Gastona. My wychodzimy tylko raz na tydzień, ale zato zabieramy pana Gastona ze sobą.

Powrócono społem na Avenue Hoche. Po zastanowieniu się nad zmienionymi warunkami, wytwarzającymi dużo komplikacji, pani Damblave zaproponowała swemu personelowi przed udaniem się na spoczynek następujące warunki pokoju:

— W soboty mój mąż i ja będziemy pilnowali pana Gastona. Ale zato musicie mi przyrzec, że w inne dni nie będziecie wychodziły.

Warunki zostały przyjęte i wszystko wróciło do zwykłego trybu. I dlatego to państwo Damblave nigdy nie przyjmują zaproszeń na sobotę wieczór, gdyż jest to dzień ich dyżuru.

łom. z francuskiego W. M.

G. O. GALLO.

KIEROWNIK MENAŻY

I.

„Pani bardzo elegancka, wysoce wykształcona, surowych obyczajów, subtelna pod względem uczuciowym, która nie wymagała od życia uśmiechów, ani darów od losów, pragnęłaby poznać pana, posiadającego odpowiednie warunki i ambicje, który mógłby ją — jeśli nie pokochać, to — zrozumieć. Me d u z a“.

„Pan bardzo młody, już przesycony miłością, niby napojem trującym albo odwarem szkodliwym, człowiek, którego dusza otwarta dziś jest jedynie dla wykwintnych radości uczuciowych, pragnąłby poznać Meduzę, jeśli ona sobie tego życzy. Geranio“.

„Jeśli pan jest bardzo młody, czy potrafisz zrozumieć mnie naprawdę? Me d u z a“.

„Czemu nie miałbym zrozumieć pani? Widzi pani! Tak jestem tego pewny, że nie pytam, jaka pani jest: wysoka czy niska, blondynka czy brunetka. Myślę tylko, że jest pani kobietą, jakiej nie spotkałem w życiu i dlatego — zgaduje pani? — dlatego podoba mi się pani tem więcej. Geranio“.

„Jest pan bardzo uprzejmy, dziękuję. Być może powiem panu później, gdzie możliwe będzie spotkać się po raz pierwszy. Me d u z a“.

„Czyżby lekkała się pani świata? Geranio“.

„Lękać się, nie. Lecz oceniam pański charakter

dżetelmena według pańskiej cierpliwości. Me d u z a“ — „Uważam to za słuszne. Będę więc czekał. Geranio“.

II.

Miał lat czternaście, gdy umarł mu ojciec, Franciszek Da Via, a matka opuściła go, dając mu życie.

W starym domu przy Porte Contarine, w Padwie, Gwido Da Via pozostał z siostrą matki, Gerolominą, to jest Miną, która miała dlań, nawet teraz, po upływie tylu lat, tak wiele troskliwości i względów, że nieraz czuł się wzruszony do łez.

Niekiedy te atencje ciotki wydawały mu się nadmierne, tak były serdeczne i niezmiennie. Ona to budziła go pierwsza, niosła do pokoju kawę, sama doglądała, gdy wkładał mundur, poprawiała na nim płaszcz, wygładzając fałdy, odprowadzała do drzwi, gdy wychodził, oczekiwała, gdy powracał, — ta tkliwość i zabiegliwość zmieniła mu samotny dom w zaciszne gniazdo, a ciotkę w prawdziwą matkę, bez której już nie wyobrażał sobie życia.

A przeto, gdy nadeszła chwila wyruszenia w pole — na ćwiczenia, mające potrwać dwa tygodnie — ciotka nie mogła bez łez patrzeć na siostrzeńca, a on stał jeszcze we drzwiach, tłumacząc jej, że ostatecznie dwa tygodnie — nawet mniej — miną szybko.

— Będziesz beze mnie, pomyśl tylko!
— Tu w pobliżu, o trzynaście kilometrów, nieco więcej, od Padwy, pośród pięknej kampanji, w gronie tylu życzliwych przyjaciół...

— Ale beze mnie, i wśród tylu niebezpieczeństw!
— Niebezpieczeństw? Absolutnie. Trzy miesiące temu — przypominasz sobie? — były manewry między Barcis i Montereale, a więc dalej... To są tylko ćwiczenia, eksperyment, próba...

— Dziecko moje, dziecko...
Stała w oknie, skąd widać całe Corso.
Poszedł wzdłuż muru, lecz gdy dotarł do rogattek Dacjusza, obejrzał się.

W oknie, jak to zwyczajem, ciotka powiewała białą chusteczką.

III.

Do Praglio przybył porucznik Gwido Da Via pod wieczór, przebiegając drogę na czele swoich ludzi. Przed nim i za nim szli — z tornistrem na plecach — żołnierze z jego pułku.

Gdy stanął w obozie było już ciemno a przeto ewolucje, poprzedzające manewry, miały być rozczęte nazajutrz, przed świtem.

Był bardzo rad, znajdując wielu z pośród swoich przyjaciół.

Wszyscy byli młodzi, jak on, jak on weseli, w tym samym niemal wieku, mieli takie same przyzwyczajenia, choć ze skłonnością do innego życia, bardziej kapryśnego i urozmaiconego.

— Jest tylko jedna bieda — rzekł Wincenty Scarra, nachylając się do jego ucha...

— Jedna bieda — powtórzyli inni oficerowie tej samej broni.

— Mianowicie?
Poprowadzili go ku ścianie jednego domów, zapalili dwie zapalki, pokazując świeżo naklejone zaawdomnienie.

— Przeczytaj to...
— Przeczytaj...

Przeczytał: „Nikt z oficerów, o ile nie jest zaopatrzone w pisemne pozwolenie, nie będzie mógł w ciągu tygodnia obozowego przekroczyć obrębu trzech kilometrów“.

— Nikt?
— Oprócz tego tu — odparł Wincenty Scarra, uderzając po ramieniu porucznika Ricciardellego — prócz kierownika menaży.

Doro Ricciardelli podniósł wskazujący palec w kierunku nosa, mówiąc: mięso i jarzyny dla dwudziestu, mleko, masło, sadło...

IV.

„Widzę, że potrafi pan czekać i dlatego cieszy się pan moją sympatją. Rozumiem, że gdy napiszę, abyśmy się spotkali, będzie pan naprawdę jedynym mężczyzną, jakiego szukałam. Meduza“.

V.

Kierownik menaży, Doro Ricciardelli, wynalazł dla swych kolegów oraz zwierzchników miejsce bardzo dogodne na wierzchołku góry Venda, niezbyt zresztą wysokiej, skąd rozciągał się wspaniały widok. Z jednej strony stary kościół Benedyktynów z Praglia, wraz z wielce starożytnym klasztorem w ruinach, z drugiej — ogród Japelli di Saonara, a wokół girlanda wzgórz, co teraz wczesną wiosną jaśniały przedziwnym kwieciami i pachniały niby olbrzymia amfora, z wiatrem rozwiewająca tajemnicze swe kieliuchy.

Oficerowie, zasiadłszy przy wspólnym stole, chwalili zupę, wino, jarzyny, potrawy dalekie od wykwiutu — to prawda! — ale smacznie przyrządzone i dobrze ugotowane.

— Ale jednak, jednak...

— Jakto, jednak?

— Mięso, wybac mi, nazbyt jest rozgotowane, a sałata zanadto sparzona.

— Ależ to rzecz gustu!

— Istotnie. Widzisz, błąd tkwi w tem właśnie: dwadzieścia osób posiada rozmaite gusta. Ty lubisz pieczeń wołową? Doskonale. A ty klopsiki? A ty rostbef? Niby wciąż to samo, wciąż jednakowe mięso. Ale dodatki, sposób przyrządzania, gotowania, pozwól mi rzec, zmieniają się raz po raz...

Inni oficerowie słuchali Da Via, nie potrafiąc wszakże przyznać słuszności jednemu, a odmówić jej drugiemu, bo ostatecznie obaj byli to wyborni chłopcy, którzy siedząc przy jednym stole nie trafiali jakoś do ładu.

Aby zadziwić biesiadników Doro Ricciardelli zaczął podać pierwszej niedzieli kwietnia gigot barani, woniejący wykwiutnie rozmarynem.

— Rozmaryn z baraniną, z gigot baraniną to danie niestrawne nawet dla tęgiego żołądka. To nie jest potrawa włoska — ale angielska. Inny klimat — inne podniebienie.

— Ale co też ty...

— Powiem krótko: baraninę należało piec na wolnym ogniu z liśćmi szałwji, które, równie pikantne, są przecież właściwsze.

W ten sposób powoli udało się porucznikowi Da Via popsuć smak wszystkim oficerom, którzy przy stole rzucali pytające spojrzenia i milczeli w obawie skompromitowania się. W poniedziałek wezwano go do majora, dowódcy bataljonu.

— Powiem całkiem otwarcie, że pańskie zachowanie nie podoba mi się. W obozie to co innego, a w Savoyu lub Metropolu — co innego. Tu wszyscy po koleżeńsku pomagają sobie, współczują, nawet przebacząją...

Porucznik stał na baczność, patrząc na zwierzchnika.

— Czy był pan już, poruczniku, w obozie?

— Tak jest, panie majorze, między Barcis a Montereale.

— Jaka była kuchnia?

— Doskonała!

— Kto był kierownikiem menaży?

Porucznik nie odpowiadał.

— Powiedz że pan do kroćset...

— Ja byłem.

Major przeszedł się tam i sam, poczem rzekł:

— Od jutra kierownikiem menaży będzie pan.

VI.

„Jutro o trzeciej na Placu Zjednoczenia. Meduza“.

VII.

Z dziennikiem w ręce porucznik Da Via wyszedł poza obręb trzech kilometrów. Dziwne myśli krążyły mu po głowie. Zupa, jarzyny — nie, potrzebna tu była zmiana. Sztuka mięsa — od dziesięciu dni w dzień i wieczorem figurowała na liście dań. Chyba ragout z kury, albo cielęcina po myśliwsku... Będzie kosztowało drożej, ale na pierwszy ogień trzeba było... A Meduza? Przybył o pół godziny za wcześnie. Dwadzieścia razy spoglądał na zegar, i wciąż zdawało mu się, że godzina nie zmienia się.

Płonne obawy, bowiem punktualnie o trzeciej ujrzał zdala ubraną czarno, w czarnej zasłonie, zbliżającą się kobietę. Kiedy się przekonał, że Meduzą była Gerolomina, to jest Mina, to jest jego ciotka, nogi zadygotały pod nim, lecz zapanował nad sobą.

A ujrawszy, że z drugiej strony nadchodzi jakieś żołniersko, grube i krępe, zawołał doń: — Hola, pójdziesz ze mną na targ!...

PAOLIO MANTEGAZZA

JEDEN DZIEŃ NA MADERZE

(KARTKA Z HIGIENY MIŁOŚCI)

W owem miejscu nie było kamieni i miałem nadzieję, że nie uczyniła sobie nic złego. Zeskoczywszy z konia pobiegłem do pobliskiego źródła i nabrawszy wody w skórzaną manierkę, bryznięłem kilka kropel na śmiertelnie blade oblicze leżącej. Poruszyła ręką, trzymającą jeszcze szpiczrutę o srebrnej gałce, lecz przytomności nie odzyskała.

Wówczas pomyślałem, że należało rozpiąć jej suknie, lecz, choć miałem dwadzieścia dwa lata, nie śmiałem, tak mocno biło mi serce ze wzruszenia i tylko raz po raz przyskałem wodę na tę piękną twarz. Nieznajoma otworzyła oczy, a ujrawszy mnie, z bladej stała się purpurowa i zamknawszy je, wyszeptała tylko: Sir, I thank you.

Owa młoda dama była cudem subtelnej piękności i głębokiej melancholji. Złotawo — kasztanowate włosy wymknęły się z pod siatki i szeroką falą spłynęły na szyję i piersi. Zebrała je wnet, a w spojrzeniu przelotnym spostrzegłszy, iż podczas upadku odsoniły się jej nogi, zakryła je wstydlivym ruchem.

Nachylny ku tej boskiej istocie, szczęśliwy, że mogę być jej pomocny, przez krótką jeno chwilę rozkoszowałem się, bowiem od strony, skąd przybyłem, usłyszałem zbliżający się tętet koński. Był to William, blady i poruszony niepokojem ponad wszelki opis. Poznawszy mnie, zatrzymał się, a zaledwie rzucił spojrzenie na leżącą, usłyszałem jednocześnie dwa okrzyki, jakich nigdy nie słyszałem i zapewne nie usłyszę w swem życiu: William! Emma!

Ile namiętności i bólu, jaka radość i zapamiętanie w tym podwójnym wykrzykniku! W mojej duszy rozległo się tylko dalekie ich echo, lecz i ja doznałem wstrząsu, i dosiadając konia rzekłem do Williama:

— Niech się pan zaopiekuje biedaczką. Ja pojedę odszukać jej wierzchowca.

Niebawem przyprowadziłem go tym dwojgu szczęśliwym, co, ująwszy się za ręce, spoglądali na siebie płacząc, a poprzez zasłone z łez na twarzach ich jaśniała gorąca namiętność i radość bez granic. Kto mógłby pamiętać teraz, co mówili do mnie zakochani? William nie mógł mówić i być może wybełkotał jakieś słowo. Zdaje się, że ścisnął mnie za ręce, nazywając swym przyjacielem, lecz pamiętam dobrze, że uczyniła to i Emma.

Pospieszyłem pozostawić ich samych, dowiedziawszy się, że młoda kobieta nie doznała najmniejszego obrażenia i że nie byłem im potrzebny.

Do Funchalu powróciłem wzruszony, jak ktoś, co był świadkiem jakiejś wielkiej katastrofy, jakiejś sceny, porywającej namiętnością, wielkiem wzruszeniem lub radością niewysłowioną. A przecie tą katastrofą było tylko spotkanie mężczyzny z kobietą. Lecz czyż największe wydarzenia w życiu narodów i jednostek nie rodzą się, rozwijają i rozwiązują, dzięki owej niewymyślnej kombinacji: spotkaniu mężczyzny z kobietą?

*

Thames podniósł kotwicę dopiero późnym wieczorem. Wszyscy powracali na statek, śmiejąc się i śpiewając, radzi ze spędzonego dnia, mężczyźni podnieceni winem wulkanicznym tej wyspy, kobiety upojone wonią kwiatów, rozgrzane biegiem gorących rumaków Madery; wszyscy z rękoma pełnymi zgrabnych koszyczków ze słomy, wdzięcznych drobiazków

z drzewa, ślicznych koronek, — wszyscy hałaśliwi, rozmowni, zadowoleni.

Ja natomiast, ukryty w swej kajucie, wypatrywałem, czy któraś z łódek, odbijających od brzegu, nie wiezie mojego Williama. I o, tajemnico serca ludzkiego! — pragnąłem gorąco widzieć go powracającego, choćby samego. Drżałem, by nie pozostał na wyspie, chciałem z nim razem być jeszcze na statku, choćby był sam i nieszczęśliwy.

Czułem się w obliczu tych dwojga obcym intruzem, lecz zdawało mi się, że i ja winienem ogrzać się w palącym słońcu owej namiętności, choćbym miał być tylko szczeniędem, co kładzie się u stóp lwa, aby go podziwiać i wielbić.

Lecz William nie wracał, ani sam, ani z towarzyszką. Noc była już głęboka i, pełen bólesci, zamknąłem okienko swej kajuty.

III.

ZNÓW NA MORZU.

Przez całą noc śniłem o Williamie, jak również wyznać to muszę — o Emmie, i więcej o niej, niż o nim. Jeżeli nowy mój przyjaciel stanowił dla mnie żywy typ siły, inteligencji, urody, owa istota niebiańska, ujrzana przez krótką chwilę na Maderze, niby zawieszona między podwójnym lazurem błękitu i urody, była obrazem ideału, wcielonego w kobietę; a tyle tajemnic splatało się dokoła tej subtelnej postaci, co w pamięci mej pozostała leżąca pośród traw aromatycznych tej wyspy, tyle otaczała ją namiętności, że nawet najbardziej pospolita dusza czułaby się tem wzruszona. Wyobraźnia moja wśród tych tajemnic trzepotała się niecierpliwie, a najszałeńsze obrazy toczyły z sobą bezustanną walkę. Powiem krótko; jakkolwiek był los miłości Williama, nocy owej zazdrościłem mu, namiętnie zazdrościłem.

Nazajutrz wstałem o swicie i zapytałem stewarta, czy wszyscy pasażerowie wrócili na statek. Odpowiedział mi twierdząco, dodając, że piękny Anglik (tak służba nazywa Williama) wrócił bardzo późno, gdy Thames, podniósłszy kotwice, zaczął odpływać. Kapitan przywitał go ostremi wymówkami, lecz on nie obraził się i wogóle nic nie odpowiedział. Był bardzo blady i steward, przyjrawszy mu się bacznie, pomyślał, że musi być chory lub też szczególnie zdenerwowany.

William nie wychodził z kajuty przez trzy dni. Stewart, lekarz, kapitan schodzili do niego, zapytując, czy czego nie potrzebuje i stale odpowiadał im przecząco, dziękując zarazem. Krążyłem dokoła jego małego więzienia, miotany bez przerwy sprzecznymi uczuciami: potrzebą pocieszenia tego wielkiego, a tak nieszczęśliwego człowieka, i czczią, jaką czułem dla tej bólesci, nawet jego siły przerastającej. Kilkakrotnie dochodziłem do samych drzwi, dotykałem ich nawet, lecz, nie śmiejąc wejść, cofałem się, bardziej zmieszany i zakłopotany, niż poprzednio. I kto mógłby w podobnym wypadku rościć sobie prawo do orzekania, co należało czynić?

Czwartego jednak dnia wkroczyłem odważnie do kabiny Williama. Odwaga moja wynikła jako rezultat takiego oto rozumowania. Jeżeli obecność moja jest dlań przykra, jednym jedynym gestem, jednym akcentem może mi to dać do zrozumienia, a sama przy-

krość będzie krótkotrwała. [≡] Jeżeli natomiast pragnie mnie widzieć, jeśli czuje potrzebę rozmowy, to ze mną tylko, a wówczas byłbym dlań pociechą niewypowiedzianą.

Przemówiłem doń tonem, dla którego mógł by mi wszystko przebaczyć:

— Williamie, czy panu czego nie potrzeba? Pan cierpi...

— Tak, przyjacielu, cierpię bardzo i brak mi pańskiej osoby.

— Trudno mi wypowiedzieć, jak wielką radość odczułem w owej chwili. Usiadłem na łóżku obok niego. Był nierozebrany, oczy miał zaczerwienione, twarz bladą i tak zmienioną, jak gdyby chorował przez cały miesiąc.

Uścisnąłem obie jego dłonie, a on objął ramieniem moją szyję i przygarbawszy do swej piersi, załkał gwałtownie. Była to ostatnia porażka silnej duszy w obliczu cierpienia, od niej silniejszego. W obliczu losu ugiął karku jeden z najtęższych charakterów, jakie kiedykolwiek znałem. Mitologia starożytna, tak bogata w poezję filozoficzną, słusznie czyniła, wcielając los w postać bóstwa.

Trzy długie godziny przebyłem z Williamem, który opowiedział mi dzieje swych cierpień. Jedne to z największych, jakie może człowiek znieść, lecz też i jedne z najwznioślejszych, co hartują człowieka i napełniają dumą swych przeżyć. Były to dzieje niezawisłe, jak wszystko, co wielkie, walka namiętności z obowiązkiem: słyszałem w nich całą słabość ludzką i całą ludzką wielkość; całego człowieka, ową biedną istotę z gliny i z iskry, którą mity wszystkich religij wyobrażały jako półboga, napoły bóstwo, napoły zwierzę, amfibja, żyjąca w niebie... i w błocie.

Od owej chwili przyjaźń moja dla Williama stała się pełna czci. Poważałem go więcej, niż kochałem, a kochałem z całym żarem swych dwudziestu dwóch lat, z całym uczuciem, do jakiego byłem zdolny w tem osamotnieniu, oddalony tak bardzo od kraju i od matki.

Byliśmy odtąd nierozłączni: nie myślałem już o wirze, który porwał mnie z ładu europejskiego, ani o niepewnej przyszłości, oczekującej mnie w Ameryce. Stałem się echem Williama, a rozmawialiśmy z nim zawsze o jednym. Cała jego przeszłość i przyszłość, wszystkie zasoby umysłu rozległego i ukształconego oraz serca, świat ogarniającego, skoncentrowały się w jednym ognisku, płonąc dla tej jednej miłości, żyjąc dla tej jednej, lecz godnej, zaiste, wszystkiego kobiety.

Jeśli byłem echem Williama, to przecie nie echem co pochlebia i pieści, lecz co wspomaga i umacnia gwoli wzniosłym celom. W obliczu tego człowieka i tej miłości, dodawałem mu bodźca, przypominając dane słowo oraz to, co jego Emma, odeń silniejsza, powiedziała na Maderze:

Williamie, walcz i czekaj.

Początkowo kupił bilet do Madery, potem zaś do San Vincenz. Chciał dotrzymać słowa i odbywał podróż dalej, a jednocześnie pragnął być możliwie w jej pobliżu. W San Vincenzo ogarnęło go przerażenie wobec pustynnych dziur owej ziemi, którą, zda się, od wieków spala jakiś ogień piekielny, nie zostawiając ani źdźbła trawy, ani też muraw. Pojechał dalej aż do Pernambuco.

Z każdym dniem stawałem się dlań coraz to potrzebniejszy i walcząc z przyjaźnią i z miłością dotarłem do Rio de Janeiro. Boskie piękno tego kraju pokonało wszelkie wahanie i William postanowił za-

trzymać się w Brazylii. Spędziłem z nim tydzień w jednym z najpiękniejszych zakątków świata, wobec którego Neapol i Konstantynopol składają skromnie oręż, poczem rozstaliśmy się.

Był to dla mnie cios okrutny; pragnąłem nie rozłączać się nigdy z Williamem, a jednocześnie czułem, delikatny i słabowity, że klimat podzwrotnikowy być by mnie zabił. Nawet pozostając z nim przez krótko w Rio de Janeiro, nie mógłbym mu towarzyszyć na stałe. Chciał on udać się w głąb Brazylii, chciał wziąć udział w przedsiębiorstwach metalurgicznych, w kolonizacji, chciał w nawale zajęć zagrzebać myśl, która go trawiła i w gorączce interesów zmóc inną gorączkę, o wiele niebezpieczniejszą.

Rozstaliśmy się z postanowieniem spotkania się w przyszłości i myśl ta złagodziła przykrość rozłąki. Byliśmy obaj młodzi i w wieku nadziei, obaj mieliśmy pozostać przez lat kilka w Ameryce południowej; czemuż więc niemożliwe było spotkanie i to wkrótce?

Tej słodkiej nadziei nie było dane ziścić się. Nigdy już nie mieliśmy się zobaczyć.

IV.

PO TRZECH LATACH

Przez dwa lata z rzędu otrzymywałem od Williama listy, lecz z dużemi przerwami. Wiele z nich niewątpliwie zaginęło, co było zupełnie zrozumiałe, zwążywszy, iż pędziliśmy obaj żywot koczowniczy, podróżując po krajach mniej lub więcej dzikich. Listy nadchodziły z Rio de Janeiro, z Minas Geraes, potem z Mato Grosso. Tu nastąpiło długie milczenie, bolesna przerwa. Nagle otrzymałem wiadomość z Valparaiso, z Cobija, z Limy i Guajaquil. Ostatni list — z Quito.

Z mapą w rękę śledziłem dziwaczną marszrutę mego nieszczęśliwego przyjaciela, łącząc w jedną całość jej bolesne etapy. Długie podróże, zmiana miejsca i zajęcia nie zdołały zapewnić spokoju tej starganej duszy. Zdawało się raczej, że czas zaostrzył jej cierpienia i głębiej zatruł rany.

Niektóre z owych listów świadczyły o takiej rozterce, że mogły być tylko — jak myślałem — pisane w przededniu samobójstwa. Lecz głęboka religijność i dane słowo, a być może przedewszystkiem jakaś iskra nadziei trzymały przy życiu mego Williama.

Po ostatniej wiadomości z Quito latem roku 1856 nie miałem już ani słowa od swego przyjaciela, ani też nie mogłem skądinąd uzyskać o nim wiadomości. Opłakiwałem już jego śmierć, gdy z Legacji brytyjskiej w Buenos Aires nadeszła do mnie paczka, którą otworzyłem wielce poruszony. Nie miałem w Anglii ani przyjaciół, ani interesów, i przecucie napełniło mnie lękiem, że papiery te pochodzą od Williama.

W paczce znalazłem odrazu te parę wierszy bez daty.

„Drogi przyjacielu!

Znajdzie pan tu zebrane i opieczętowane listy, wszystko co mam na świecie najdroższego. Proszę zachować je jeszcze przez lat dziesięć. Jeśli po tym czasie nikt nie zgłosi się po nie w moim imieniu niech je pan ogłosi. Czyniąc tak, chciałbym być posłuszny życzeniu mojej Emmy, gdy mi mówiła: każdy postępek twego życia winien być pożyteczny, również i nasze cierpienia muszą przydać się komuś.

„Raz jeszcze dziękuję Ci, przyjacielu, za wszystko, coś uczynił dla Emmy w ciągu jednej godziny na Maderze, za wszystko, coś czynił zawsze dla oddanego Ci Williama“.

Z. ZAWISZANKA.

CÓRKA BOGA

— Zali święty Michał okazał ci się nago?
— Mniemacie — oburza się Joanna — iż Pan nie ma czem go przyodziać?

— Miał-li włosy?

— A pocóż by mu obcinali?

Podobną tendencję widać w troskliwym badaniu, jaką częścią ciała dotykały święte jej pierścionka? W jaki sposób obejmowała je za nogi?

Interesuje ich także ogromnie kwestja, co skłoniło królewicza do zawierzenia obcej pasterce; wietrząc tu jakąś ważną tajemnicę „znaku“, danego przez nią czarnoksięską mocą, chcą się go dobadać za wszelką cenę, a tembardziej, że Joanna odmawia stanowczo wyjaśnień;

— Nie usłyszycie onego w tym roku z ust moich. Ślijcie do króla, niechaj on sam gada!

Krażą więc wokół drażliwego tematu, chcąc wydobyc przynajmniej jakieś szczegóły o pierwszym posłuchaniu w Chinon; wmawiają Dziewicy, że, skoro poznała wówczas króla, to chyba musiał być jakiś anioł na jego głowie.

— Na Pannę Najświętszą! — woła zniecierpliwiona — nie wiem, zali był jaki, jam go nie widział!

Próbują udowodnić, że sztandar jej był zaczarowany i chcą koniecznie się dowiedzieć, przez jaki „sekrety“ porywała za sobą żołnierzy.

— Mówiłaś im — wyjaśnia zapytana z żołnierską prostotą — wchodźcie śmiało między Angielczyki. i wchodziłaś sama.

Gdyby zastąpić tu nazwę narodowości słowem „nieprzyjacieli“, to zdanie owo mogłoby służyć za hasło dla wszystkich armij, za motto dzieł wojskowych wszelkich czasów i całego świata...

Przerazony wprost przytomnością umysłu, odwagą i genialną bystrością Joanny, Cauchon zawiesza nagle plenarne posiedzenie sądu. Czas był najwyższy, gdyż urok oskarżonej począł już działać na ogół sędziów i coraz więcej niewyraźnych szmerów słyszano w sali... Normandzki teolog Jan Lohier, chluba Sorbony, zarzucił wręcz biskupowi, iż bezprawnie wmieszano tu sprawę króla Karola, nie powołując wcale jego przedstawiciela, bezprawnie pozbawiono pod sąd obrońcy — wyjechał też, oburzony. Podobne uwagi czynił ksiądz Haupeville, póki nie pozbył się go wygodnie, wtrącając pod jakimś pretekstem do więzienia. Protestującego również uczonego Włocha, Jana de Chatillon, wykluczono z trybunału.

Lecz wszelki bunt jest zaraźliwy; takie wypadki mogły się mnożyć, gdyby pozwolono nadal tej zuchwałej dziewczynie ołsniewać całe tłumne zgromadzenie błyskawicami swej inteligencji i natchnienia, rzucającami tak jasne światło na wyjątkową czystość jej duszy. Było to tembardziej nieuniknione, że liczne nieformalności „pięknego procesu“ były w oczy:

1) Ukonstytuowano trybunał dopiero w 20 dni po rozpoczęciu procedury.

2) Przewodniczył biskup z innej diecezji.

3) Ani inkwizytor, ani wszyscy assesorowie nie znali całości procedury, gdyż na każdy seans inny wzywano zespół sędziów.

4) Stronniczość ich, aż nadto wyraźna i

5) presja ze strony władzy politycznej, a nawet wojska, wykluczała z góry sprawiedliwość.

6) Nie dano Joannie obrońcy prawnego, choć go żądała,

7) ani kuratora, który jej się należał, jako małoletniej.

Wobec tego wszystkiego, bezpieczniej było prowadzić nadal badania w szczuplejszem, a pewniejszym gronie. Odtąd Cauchon ze swymi zaufanymi sam przepytuje Joannę tajnie, po kilka godzin dziennie.

Chcą wydobyć z niej koniecznie, jaki to cudowny „znak“ swego posłannictwa dała Karolowi w Chinon; zaś ona za nic na świecie nie zdradziłaby wrogom swego króla wątpliwości jego w prawo własne do korony, ni tajemnej modlitwy, którą niegdyś odgadła... Nagabywana o to bezustanne, ucieka się w końcu do wybiegu: opowiada, iż ukazał się królowi i całemu jego dworowi anioł, niosący koronę i że ten to znak przełamał nieufność wszelką w stosunku do niej. Przejrzysty ów symbol, określony przez nią samą później (w dzień śmierci), jako „fictio quaedam“ — rozumieli sędziowie całkiem dosłownie i dochodzili też z powagą, o ile kroków od króla stał anioł, z czego była zrobiona korona i t. p. Joanna opędza się od ich natarczywości ogólnikami, zaręczając iż znak ów jest; „...piękny, chwalebny i godzien wiary, zacny, a nabogatszy, jaki jeno być może... Trwa i trwać będzie więcej, niżli tysiąc lat... jeżeli jego zachowują go w pieczy należytej. Nic nad to wam nie rzekę...“

Około połowy marca biskup przychodzi do przekonania, że dotychczasowy kierunek oskarżenia nie da się utrzymać: mimo najsilniejszych starań nie zdołano Dziewicy dowieść czarnoksięstwa.

Trzeba było teraz obrać inną drogę. Orjentując się już nieco w psychologii swej ofiary, widząc jej niezłomną pewność bezpośredniego kontaktu z niebem. Cauchon wpada na sprytny wistocie pomysł, aby obarczyć ją zarzutem nieposłuszeństwa względem ziemskiego „Kościoła wojującego“. Wszak nieposłuszeństwo takie, to już herezja — a ta prowadzi nieuchronnie na stos...

Tak więc cała treść procesu zawarła się teraz w jednym żądaniu: poddaj się Kościołowi i to bez żadnych zastrzeżeń! on dopiero orzeknie, czy misja twa od Boga pochodzi. Rzecz prosta, iż Dziewica broni się instynktownie; ona wie sama dobrze, kto ją posłał, a czuje, że stronnicze zaślepienie nie pozwoli jej sędziom tego uznać. Prosi więc, by jej udowodniono, czy było w jej objawieniach cośkolwiek sprzecznego z wiarą i tłumaczy:

— Miłuję Kościół święty i pragnę go wspierać ze wszech sił, dla naszej wiary chrześcijańskiej, przeto nie mnie godzi się wzbraniać mszy św. i odganiać od kościelnych wrogów... Co się tycze zacnych dzieł, którychem dokonała, i zesłania mojego na świat, trza mi się odwołać do Króla Niebios, co mnie posłał i do Karola, syna Karolowego, króla Francji. A obaczycie, iż Francuzi wygrają wrychle walną rozprawę, z woli Boga, która poruszy całe prawie królestwo. Powiedam ono, iżby pomniano na słowa moje, gdy się stanie...

— Zali się spuszczaś na orzeczenie Kościoła?

— Spuszczam się na Pana naszego, który mnie posłał, na Pannę Najświętszą i na wszystkich błogosławionych świętych w raj. Zda mi się, iż Bóg i Kościół jedno są... przecz szukacie, jakoby rozdzielić jedno od drugiego?

„Dwoje jest Kościołów“ — mówi współczesny Joannie teolog, Jan Gerson — Jeden ogarnia wszech

prawych chrześcijan, a przewodnikiem mu Jezus Chrystus. Drugi gada zawdy o domenach, złocie, władzy, hierarchji — i troska się jeno onym światem doczesnym.

Canchon i jego pomocnicy reprezentowali niestety wyłącznie ten ostatni Kościół, który nic nie miał wspólnego z Bogiem, przebywającym w wielkiem sercu Joanny.

Lecz gdzież był wtedy ów pierwszy, właściwy Kościół? choćby ów francuski, zawdzięczający jej powrót na opuszczone swe probostwa i djecezje? ten sam, co w Poitiers znalazł ją „skromną, pobożną, uczciwą i dobrą“ — później posłanką Bożą nazywał, pozwolił ludowi modlić się przed jej wizerunkami — i teraz jeszcze, w świątyniach południowych prowincji, z nim razem błagał o jej ocalenie?!

A mógł interwenjować, jak stwierdzają wszyscy poważni historycy — gdyż kler z obu części kraju utrzymywał stale wzajemne stosunki: w owym czasie właśnie odbyła się nawet jakaś wspólna narada w sprawach duchownych, na której rozmyślnie śnać pominięto drażliwą kwestję procesu... Księża, wierni Karolowi VII mogli przecie zjawić się w Rouen ochotniczo, jako świadkowie, przedłożyć księgę obrad w Poitiers — mogli żądać odwołania się do Synodu i do Papieża.

Coprawda, w ciągu pięciu miesięcy trwania procesu, wieść o nim musiała dotrzeć do Rzymu, z którym Francja miała żywy kontakt przez kurjerów — tembardziej, że z wiosną 1431 r. bawiła tam ambasada specjalna od Karola... A Papież mógł wszak jednym skinieniem zahamować cały proces i wezwać oskarżoną przed swe oblicze!

Tego zresztą mogła prawomocnie zażądać ona sama — i to jej właśnie doradzili, litością wzruszeni, bracia Isambart de la Pierre i Marcui Ladvenu. Joanna chwyciła się energicznie tego sposobu, ku najwyższej wściekłości biskupa, który wprost zakazał pisarzowi sądowemu wciągać ten jej rekurs do protokołu. Jest to ósma z rzędu i najcięższa może nieformalność, czyniąca z całego procesu wyraźne bezprawie. Ślad jej widzimy w jednym zdaniu aktów, nagle urwanem — i w zanotowanym mimo wszystko żalonym okrzykiem Joanny:

— Biada mi! spisujecie wy dobrze, co przeciw mnie jest, ale co za mną świadczy, tego nie piszecie!

Wogóle, czytając zeznania Dziewicy, trzeba zawsze pamiętać, że zostały nam one przekazane przez jej zaciętych wrogów...

Z końcem marca sformułowano, obszernie, a jawdowicie, akt oskarżenia w 70-ciu punktach, (streszczonych później do 12-tu). Zarzuca on jej. nieposłuszeństwo względem rodziców, grzeszną wiarę w objawienie będące ludzkim wymysłem, lub dziełem złego ducha; przesady, uwodzenie ludu do bałwochwalstwa; podkopywanie powagi Kościoła, krwiożerczość i inne czyny, przeciwne miłości bliźniego; obstawanie przy stroju, płci swej niewłaściwym — wreszcie nawet bluźnierstwa przeciw Bogu i świętym! Libelt doskonale charakteryzuje całą perfidję tego aktu:

„Powiada, iż przeciw woli ojca i matki poszła z żołnierzami i przestawała z nimi dnie i noce. A nie dodaje, że przeprosiła za to rodziców, że jej sami przebaczyli, że uczyniła ślub czystości i brzydziła się wszetecznością. Zarzuca jej, że stroju męskiego złożyć nie chce, a przemilcza, na jaką rozpustę żołnierzy w więzieniu była wystawiona. Zarzuca jej nieposłuszeństwo Kościołowi, a zataja, że się odwoływała do zboru i do Papieża“.

Streszczone artykuły owe rozesłano, z prośbą o opinię, do Sorbonny i do różnych uczonych teologów. Dwóch tylko ujęło się nieśmiało za Joannę; inni potępiali ją gwałtownie, chwając zarazem pobożną gorliwość sędziów, w czem Uniwersytet paryski najgoręcej prym trzymał. W ten sposób scholastyka średniowieczna, reprezentowana tu przez najświetniejszą swą wszechnicę, skompromitowała się raz na zawsze...

Przed odczytaniem oskarżenia, zrobiono podsądnej spóźnioną propozycję, by sobie wybrała adwokata obrońcę, z pośród assesorów. Lecz ona, obrzuciwszy bystrym wzrokiem wszystkie te oblicza, służalcze a bezlitosne, odrzekła spokojnie:

— Dzięki wam... wszelako cale nie chcę odbiegać Rady Pana naszego!

Nagabywana jeszcze, by się poddała ślepo ich duchownej władzy, oświadcza:

— Przybyłach do króla Francji od Boga, od Dziewicy Marji, od wszystkich świętych z raju i od Kościoła tryumfującego, tam, w niebie — z jego rozkazu! Onemu takż Kościołowi poddawam wszystkie swoje uczynki i to, co mi jeszcze sprawić ostaje.

— A miałabyś wolę odpowiadać całą prawdę Ojcu św. zastępcy Boga, na wszelakie pytania, wedle wiary i sumienia twego?

— Żądam być zawiedziona przed jego oblicze! a potem rzekę mu, com rzec winna.

Zmieniając nagle temat, rzuca ktoś pytanie.

— Przecz sztandar twój niesion był do fary w Reims na koronację, poprzed sztandarami inszych wodzów.

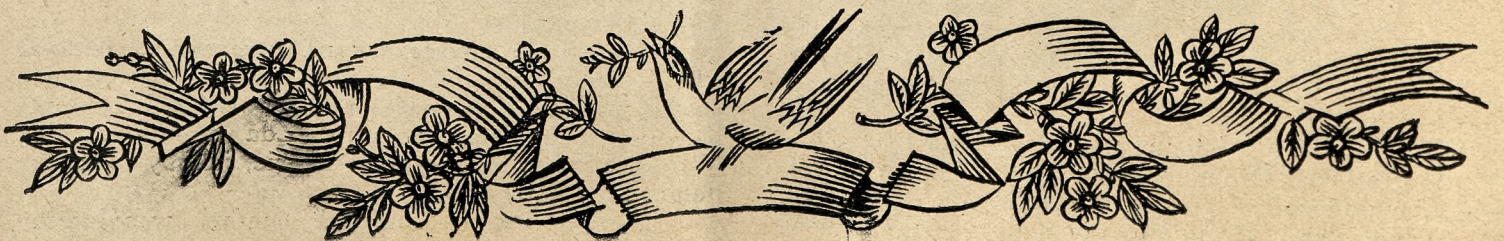
Roziskrzyły się przygasłe oczy Dziewicy.

— Stawał w potrzebie — zawoła bez wahania, zaczem godziło się, by i czi doznał!

Żywe wspomnienie tamtych świętych czasów, w samotności obecnej kaźni beznadziejnej, mogło zaiste przyprawić o utratę zmysłów. „Gdyby jej nie podtrzymawały głosy z nieba, głosy własnego serca — mówi Anatol France — Joanna nie byłaby dobrnęła do końca tego straszliwego procesu, gdzie, dręczona jednocześnie przez ksiąząt Kościoła i przez żołdaków, przetrwała cierpienia, fizyczne i moralne, nie do zniesienia dla zwykłej ludzkiej natury. Ona je wytrzymała, zachowując stałość, wiarę, niebiańską swą nadzieję — rzechy można, prawie wesołość!“

Wreszcie w kwietniu rozchorowała się ciężko, „wyczerpawszy swe siły, lecz nie odwagę“. Biskup z kilku doktorami odwiedził ją, upominając, by się poddała Kościołowi, gdyż wówczas tylko może dostąpić spowiedzi.

(c. d. n.).



ZJAZD KATOLICKI W WARSZAWIE

Trzydniowy ogólnopolski Zjazd katolicki, który w dn. 28, 29 i 30 sierpnia obradował w gmachu politechniki w Warszawie nie jest bynajmniej pierwszą tego rodzaju manifestacją uczuć religijnych w odrodzonej Polsce. Już w rok po odparciu najazdu bolszewickiego we wrześniu 1921 roku, odbył się w Warszawie zjazd katolicki diecezji Warszawskiej, na którym postawione zostały postulaty obywateli — katolików w sprawie moralnej odbudowy państwa polskiego, stosunku jego do kościoła i religii katolickiej, kwestji religijnego i moralnego wychowania młodzieży, oraz rozwiązania sprawy robotniczej w duchu etyki chrześcijańskiej.

Obecny Ogólnopolski Zjazd, — związany z 200 letnią rocznicą kanonizacji Św. Stanisława Kostki i wprowadzenia z Rzymu relikwii tego patrona młodzieży naszej — był próbą skoordynowania wszelkich rozproszonych wysiłków, zarówno poszczególnych grup, jak i jednostek o ideałach katolickich.

Pokolenie obecne — po wielkim kataklizmie dziejowym jakim była wojna światowa — stanęło wobec takiego rozpętania najgorszych instynktów bestji ludzkiej, takiej ruiny wszelkich dotychczasowych wartości i najistotniejszych podstaw życia, takiej gehenny cierpień i nędzy milionów, — na którą w mowie ludzkiej nietylko brak słów, ale i zrozumienia. Załamało się wszystko dokoła nas, a nad miarę udręczona ludzkość widzi, iż dotychczasowe materialistyczne ujmowanie zjawisk życia nie wystarcza i wprost niepodobieństwem jej się wydaje znalezienie ratunku w złotych i omylnych środkach własnego tylko rozumu.

Ze wszystkich stron, ze wszystkich grupowań społecznych słyszymy nawoływania do odrodzenia moralnego, jako konieczności nieodzownej dla zapewnienia egzystencji państwa i narodu, zdajemy sobie dobrze sprawę, że deprawacja, egoizm, żądza użycia, słabość dusz i charakterów, są cechą najbardziej dominująca okresu, który, przeżywamy.

Odwieczne, nieśmiertelne zasady nauki Chrystusowej: sprawiedliwość, miłość, poczucie obowiązku, karność i duch ofiarnego poświęcenia — były, są i będą zawsze najpotężniejszą dźwignią prawdziwego postępu, kultury, zdrowia i rozwoju państw i narodów.

Ostatni zjazd katolicki miał też na celu pobudzenie katolickiej Polski do akcji czynnej i bardziej wyężonej, aby zajęła stanowisko jej należne, jak ongi w przeszłości, w epoce Trydenckiego Soboru, którego duszą był polak — Stanisław Hozjusz.

Obrady zjazdu, (i to przyznać musiał każdy bezstronny słuchacz bez względu na przekonania) — utrzymane były naogół na wysokim poziomie, a odbywały się pod hasłem czystości obyczajów i odrodzenia życia rodzinnego, tego niczem niezastąpionego czynnika, tego najświętszego warsztatu, w którym wypracowuje się najwyższe wartości społeczne. Niepodobieństwem jest niestety w ograniczonych ramach artykułu podać całokształt i dokładne z prac zjazdowych sprawozdanie. Musimy poprzestać na najbardziej interesujących ogół naszych kobiet.

Jednym z najpiękniejszych referatów, zarówno pod względem treści jak i formy, wygłoszonym na plenum w I-szym dniu zjazdu w porywającą siłą przekonania — był referat O. Jana Roztworowskiego „O rodzinie w zmiarach Opatrzności“.

Rodzina, katolicko-chrześcijańska, w pojęciu mówcy, to niby gmach o 3 piętrach, o 3 rodzajach wiązań coraz to wyższych, coraz wspanialszych. Pierwsze piętro — to owa siła co się rodzi z ciała i ciałem jest. Tkwi ona głęboko w materji i w umysłach. Przejawy

tej siły bywają piękne i wzruszające nawet wśród świata zwierzęcego. Ale do tej siły przybywa piętro drugie — duch nieśmiertelny, gdy ślepy instynkt zamienia się na świadomość, gdy zjawia się miłowanie serdeczne, zrozumienie i odczucie szczęścia. A trzecie piętro — to węzeł świętego braterstwa, uczucie czyste, bezinteresowne łączące w jedną nierozzerwalną całość męża i żonę, ojca i matkę, brata i siostrę. Czy da się pomyśleć lepszy instynkt wychowawczy jak zdrowa moralnie rodzina? Ona daje młodemu pokoleniu najwyższą kulturę duchową, wytwarza najmocniejsze przyrośnięcie do pnia społecznego. Rodzina, to niczem nie zastąpiony czynnik do wytwarzania najszlachetniejszego typu człowieczeństwa. Dobrobyt państwa i narodu niema lepszego sprzymierzeńca jak rodzina wedle praw bożych żyjąca. Gdy rodzina niedomaga, nie ma jednej komórki w społeczeństwie, którejby się ten rozkład nie udzielił.

Bardzo interesującym był wykład D-ra Kozerskiego pt. „Zmysłowość jako cel życia dzisiejszego“. Mówca zwraca uwagę jak wzrost egoizmu, jad nienawiści i lubieżność zaćmiły horyzonty, obniżyły lot polskiego życia i spowodowały zmianę obyczajów. Społeczeństwo zanadto biernie zachowuje się wobec czynników rozkładu. A tymczasem szerzy się alkoholizm, wzrastają choroby weneryczne, tolerowana, — a nawet popierana nagość i perwersja w strojach, — przedwcześnie rozbudza zmysłowość, podnieca młodzież, — doprowadzając do znikczemienia i deprawacji: Należy koniecznie ochłonać z tej apatii. Dom i szkoła musi rozpocząć walkę ze złem, musi hartować dziecko, aby nie uległo niewczesnym, rujnującym zdrowie moralne i fizyczne nałogom.

„O politycznych przyczynach upadku rodziny — mówiła na plenum poseł Puzynianka z dużą swadą i siłą przekonania, — zwracając uwagę, że niszczenie rodziny, jako podstawowej komórki chrześcijańskiego społeczeństwa, jest polityczną koniecznością wrogów, zarówno silnej państwowości jak i całej ideologii chrześcijańskiej, przykład katolickiej Francji, organizującej się przeciwko swoim wrogom wewnętrznym winien być wzorem dla katolickiej Polski w planowej obronie rodziny.“

W sprawie nierozzerwalności małżeństwa, dłuższy referat wygłosił mec. Jankowski z Ostrowa Wielkiego, wypowiadając się zdecydowanie przeciwko t. zw. ślubom cywilnym i rozwodom, które uważa za czynnik rozstroju, i bezładu. „Dla urojonego szczęścia jednostki — twierdzi mówca — nie można zrywać z niewzruszalnymi zasadami odwiecznymi“.

Bardzo rzeczowe i interesujące były obrady sekcji: wychowawczej religijno-moralnej, prawniczej, gospodarczej i lekarskiej. Zwłaszcza referaty wygłoszone na sekcji lekarskiej, ze względu, iż poruszane tematy takie jak; wstrzemięźliwość płciowa, neomaltuzjanizm i zwalczanie chorób wenerycznych, oświetlone były z punktu naukowego w sposób dotychczas szerszemu ogółowi mało znany — zasługują na dłuższe, specjalne omówienie.

Powrócimy też do nich jeszcze w jednym z następujących numerów.

Zjazd, który zaszczycił swą obecnością pan Prezydent Rzeczypospolitej, wraz z przedstawicielami władz państwowych — uchwalił cały szereg rezolucyj, z których podajemy tylko najważniejsze:

Wniosek ogólny I. Zjazd stwierdza, że dotychczasowa pomoc dawana bezrobotnym jest niedostateczną, poniżającą i nie celową, prosi Episkopat Polski, aby wpłynął na czynniki miarodajne do wzmo-

zenia tej akcji i poparcia jej przez odpowiednią akcję społeczną. II. Zjazd uważa za niezbędne roztoczenie opieki nad naszymi emigrantami na obczyźnie nad t. zw. robotnikami i robotnicami sezonowymi, a to w celu przeciwdziałaniu wynarodowieniu i handlowi żywym towarem. III. Zjazd zwraca się do wszystkich poważnych organów prasy z apelem, aby zechciały bezwzględnie odrzucać wszelkie ogłoszenia kin, czasopism, przedsięwzięciom szerszącej zepsucie moralne.

Wnioski sekcji gospodarczej: W celu uzdrowienia życia moralnego rodziny katolickiej — Zjazd wzywa całe społeczeństwo polskie i katolickie do przestrzegania zasad oszczędności, oraz stosowania jak najdalej idących wskazań powściągliwości i skromności w strojach i zabawach, życiu codziennym, jak również normowanie wydatków w granicach budżetu domowego.

Zjazd łączy się z dążeniami społeczeństw w różnych krajach do zakazu pracy zarobkowej w fabrykach — kobietom zamężnym, mającym dzieci.

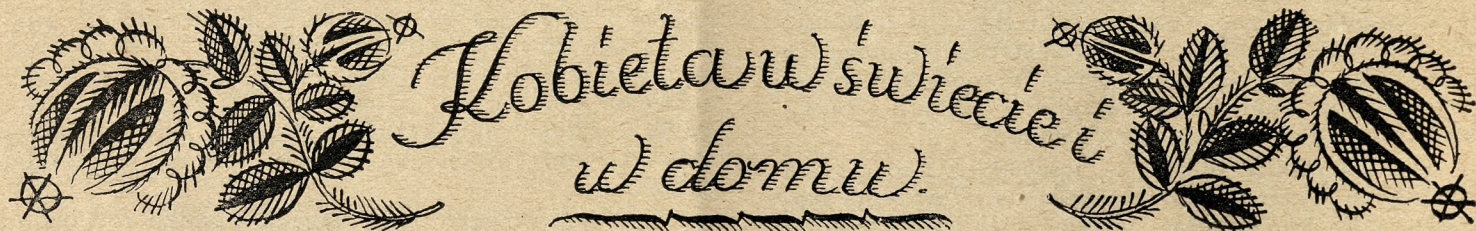
Wnioski sekcji prawniczej I ogólnopolski Zjazd Katolicki wzywa rząd do wydania przepisów przechodnich, nie pozwalających na stosowanie

przepisów o ślubach i rozwodach cywilnych, istniejących w b. zaborze pruskim do osób tam nieprzynależnych. I-szy ogólnopolski zjazd katolicki domaga się od Rządu, aby nie czekając na uregulowanie ustawodawstwa małżeńskiego dla całej Polski, przedstawił projekt ustawy, znoszącej uprzywilejowane stanowisko cerkwi prawosławnej, co do prawa małżeńskiego, a to w myśl rezolucji uchwalonej przez senat Rzplitej.

Wnioski sekcji religijno-moralnej. Zjazd uznając doniosłość współpracy matek w odrodzeniu katolickim Polski, zwraca się do Episkopatu z prośbą o zaprowadzenie Związku Matek Chrześcijańskich we wszystkich diecezjach, stworzenie organizacji centralnej na całą Polskę i otoczenie Związku tego szczególniejszą duszpasterską opieką.

O wnioskach sekcji lekarskiej — jak wspomniano powyżej — pomówimy oddzielnie.

Zjazd, który w dłuższym przemówieniu powitał i pożegnał J. E. ks. Kardynał Kakowski — zakończył swe obrady w dniu 30 sierpnia po południu. W drugim dniu Zjazdu odbył się wspaniały pochód z gmachu politechniki do katedry.



WIĘZIENIE BEZ KRAT.

Działaczka społeczna amerykańska, p. Ludwika van Eeghen, opisuje w piśmie kobiecym „N. C. W. C. Bulletin” wrażenia swoje w pobytu w Peru, z których najbardziej zaciekawiającem było zwiedzenie więzienia kobiecego pod wezwaniem św. Tomasza w Lima.

Jeż to więzienie, któremu podobnego nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy dotychczas widzieć — pisze pani Van Eeghen. — Proszę sobie wyobrazić duży, jasny dom, otoczony ogrodem, w którym przechadzają się swobodnie młode i starsze kobiety, odziane w schludne i estetyczne suknie. W oknach pokojów, które trudno mi nazwać „celami”, nie odpowiadają one bowiem w niczem celom, jakie się zazwyczaj widuje po więzieniach — stoją doniczki kwiatów i wiszą czyściutkie białe firanki. Nierzadko można dostrzec w którymś z takich okien wesoło szczebioczącego kanarka w klatce. Właściwie jedne tylko te kanarki w tem miejscu miałyby prawo nazwać się więźniami — właścicielki ich bowiem korzystają tu z pełnej i niczem nieograniczonej swobody. Co odrazu uderza widza na pierwszy rzut oka, to absolutny brak wszelkich krat i rygli u drzwi. Wszystko tu stoi otworem, nie ma żadnych stróżów i nikomu nawet nie przychodzi na myśl pilnować uwięzionych, aby nie uciekły.

Zdziwiona tym niezwykle widokiem, zwracam się po wyjaśnienie do przełożonej więzienia (całkowity zarząd i opieka nad więzieniem znajduje się w ręku katolickich zakonnic).

— Siostrzo, jestem doprawdy tak zdumiona tem, co widzę, że nie wiem nawet, od czego rozpocząć moje pytanie.

Zakonnica uśmiecha się łagodnie i odpowiada:

— Niech się pani nie usprawiedliwia — jesteśmy już do tego przyzwyczajone, że każdy, kto zwiedza to więzienie, dziwi się jego urządzeniu i zadaje nam cały szereg pytań. Otóż muszę pani najprzód powiedzieć, że ta próba „więzienia bez krat”, na którą sobie pozwoliłyśmy przy współudziale rządu, który udzielił nam swego poparcia i pomocy — wydała jak najlepsze rezultaty. Nigdy, ale to absolutnie nigdy nie miałyśmy wypadku, aby jakokolwiek z odbywających tu swą karę przestępczyń uciekła z tego domu. Co ważniejsza: nie miałyśmy nigdy wypadku, aby która z nich skazana została ponownie na karę więzienia. Pupilki nasze, wypuszczone na wolność, nie wracają już do nas nigdy — chyba tylko w charakterze odwiedzających nas gości, co się nieraz zdarza.

— A jakż jest sekret tej cudownej przemiany? — pytam.

Zakonnica chwilę, potem odpowiada poważnie:

— Staramy się wpływać na swoje pupilki wszelkimi dostępnymi nam środkami, z których niewątpliwie najpotężniejszym jest modlitwa. Dużą rolę odgrywa także łagodne obchodzenie się z temi nieszczęśliwymi, które tu przybywają często chore na duszy i na ciele, zawsze zbuntowane przeciwko przemocy, podrażnione, albo zgnębione i zrozpaczone. Traktujemy je odrazu serdecznie, z całą oględnością, nie dając im nigdy odczuć, że im nie wierzymy lub pogardzamy niemi, jak to się niestety aż nadto często zdarza w innych więzieniach albo domach poprawczych. Od pierwszej chwili dajemy im dowód absolutnego zaufania, pozostawiając im całkowitą swobodę ruchów i w ten sposób nawiązujemy pomiędzy niemi a sobą nić wzajemnego zrozumienia i szczeroci. Z biegiem

czasu nic ta coraz bardziej się zacieśnia, i zapewniam panią — dodaje z uśmiechem siostra przełożona — że żaden chyba zakład nie utrzymuje ze swemi wychowankami, już po opuszczeniu przez nie jego murów, bardziej stałych i serdecznych stosunków.

Ze ściśnionem sercem opuszczałam „więzienie“ św. Tomasza, myśląc o tych wszystkich ponurych, zakratowanych gmachach, gdzie męczy się tyle kobiet na całym cywilizowanym świecie. Może przykład tych pełnych poświęcenia zakonnic zachęci i inne kraje do wprowadzenia u siebie podobnego regulaminu więziennego? Może znajdują się i gdzieś indziej jednostki ofiarne, które potrafią się zdobyć na taki sam czyn miłosierdzia chrześcijańskiego, jak owe skromne Siostry św. Tomasza? Daj to Boże!

Z. B.

JAK NIEMIEC POJMUJE MIŁOŚĆ

Pod tym tytułem wystosowuje niemiecka pisarka p. Polly Tieck w Vossische Zeitung 4 czerwca b. r., „Kazanie“ do swych rodaczek.

Z jej słów poznajemy, że mimo wielkiej wojny, mimo wstrząśnienia całego świata, psyche kobiety niemki pozostała niezmienna i tak samo, jak za czasów Heinego djametralnie różna od psychiki kobiety zachodu a tak samo — polki. Zdawało nam się nieraz, że źle robimy, odgradzając się murem uprzedzeń od naszych sąsiadek, że możnaby dużo skorzystać o solidnej, pracowitej i bezpretensjonalnej niemki, cóż, kiedy to, co słyszymy z ust p. Polly Tieck potwierdza długoletnie doświadczenie, że dziwnie trudno porozumieć się ze sobą tym dwum sąsiadkom o międzę, tak różnym mówiących językiem.

Wprawdzie autorka pisze o psychologii mężczyzny, ale wyraźnie dodaje: „Same jesteście sobie winne, siostrzyczki, macie takiego męża (lub kochanka), ja-ki-egoście sobie wychowały!

„Wasze babki, matki i wy same od niepamiętnych zgoła czasów przynosiłyście mu pantofle, zapalały fajkę i podawały gazetę. Mówiłyście do nich: „Mężusiu“, gdy zaledwie byli kochankami, a „tatusiu“ w miesiącach miodowych. Drżałyście ze strachu, gdy wchodzili do pokoju: butni, hałaśliwi i rozpychający się, uśmiechałyście się, gdy ostrem was zranili słowem. Idźcie w szkołę do waszych sióstr: smukłych i władczych kobiet zachodu i tkliwych a wdzięcznych ze wschodu, niech one was nauczą sztuki postępowania z mężczyznami. Może kiedyś zrozumie niemiecki kochanek i mąż, co to znaczy miłość? Bo do tej chwili istnieje u Niemca dziwne, jak na tak gruntownych ludzi, przestarzenie pojęć i zamiana słowa czynnego na bierne: kochać, to znaczy u Niemca jedynie: być kochanym!

„A ponieważ jest on człowiekiem najgruntowniejszej, najdoskonalszej wiedzy i nauki, zatem pod każdym pojęciem, nawet najniekorzystniejszym musi on widzieć dokładnie zarysowany obraz rzeczywistości. Kobieta, którą może pokochać (t.zn. przez którą chce być kochany) musi uznawać bez zastrzeżeń jego doskonałości, musi prosto roztapiać się w uwielbieniu jego zalet, jego idei, jego charakteru. Musi umieć stanąć w cieniu jego osobistości. A w życiu codziennym musi nauczyć się pobłażania i nie mieć mu, broń Boże, za złe, jeśli pierwszy przed nią w drzwi wejdzie, natomiast nie powinna mieć pretensji, aby jej np. płaszcz podał, przeciwnie ona to może mu dopomóc ciężką, zimową przyodzić narzutkę. Musi być przygotowana na to, że nieraz przy obcych — och, w najlepszej doprawdy intencji — zamknie jej usta w środku rozmowy, rzuconem ostrem słowem. „Na tem się nie rozumiesz, moje dziecko!“ Musisz zgodzić się z fak-

tem, że nigdy ci nie przyniesie kwiatów, ani perfum, a czasem tylko czekoladki. Że w ciemny, zimowy wieczór, gdy razem z teatru wyjdziecie, a on ma jeszcze gdzieś indziej się udać, nie przyjdzie mu na myśl, że przykro ci wracać samej do domu. Co najwyżej, jeśli jest zupełnym gentlemanem, to wsadzi cię do tramwaju, a jeśli bogaczem, to do taksówki...

„Niemiec kocha kobietę, p o n i e w a ż... jest młoda, ładna, gospodarna, bogata...

„A że ty, siostrzyczko, kochasz go, p o m i m o że... p o m i m o że... p o m i m o że... to on rzadko kiedy to zrozumie... Jest on, jak się rzekło, człowiekiem dużej wiedzy, dobrego charakteru, nieposzlakowanej uczciwości. Rzadko unieszczęśliwi kobietę mężczyzna niemiecki, ale — rodaczko miła — nie uszczęśliwi cię nigdy.

„Nigdy nie pojmie on i nie zechce pojąć, że są na świecie narody, u których miłość stanowi centrum życia, a mimo to, ani praca, ani twórczość, ani geniusz męski nie ponosi przez to szkody. Że miłość może uskrzydlić, rozplomienić, wznieść na szczyty, że należy do odwiecznych praw życia, że winno się znać ją tak, jak winno się znać łacinę... To jest dla Niemca księgą zamkniętą...“ Tak pisze Niemka w r. 1926.

K

Z KSIĄŻEK

SMUTNA KSIĄŻKA

(Marja Rodziewiczówna: „Niedobitowski z granicznego bastjonu“. 1926. Lwów-Poznań, Nakładem Wydawnictwa Polskiego).

Marja Rodziewiczówna ma chlubną kartę w historii zasług kobiecych dla walorów artystycznych i literackich, faktem zostaje w tej chwili od wielorów artystycznych i literackich, faktem zostaje, że dziełami jej jak zdrowym pokarmem żywiły się rzesze, że w bibliotekach Towarzystwa Szkoły Ludowej, np. „Dewajtis“ i „Szary proch“ bywały rozchwytywane i zaczytywane na śmierć, (książki poczytne poznaje się zawsze po ich zniszczeniu), że po lekturze tej zostawało w młodych sercach dużo szlachetnych i gorących uczuć, przenikających z ducha autorki, rozmiłowanego w ziemi rodzinnej.

Dziś sędziwa już pisarka nowy tomik wydaje — czytamy go z zajęciem, widzimy, że wiek nie osłabił jej werwy, przeciwnie, mniej wielomówności, szkodzącej jej powieściom, dużo plastyki i żywości w tych krótkich obrazkach... A jednak, jakież smutne ogarnia nas uczucie.

To już nie głos osoby mówi, to skarży się całe pokolenie, cały odłam ludzi. Tych co byli solą ziemi tam na Kresach Rzeczypospolitej. Co trwali wbrew nadziei. Ród Marków Czertwanów i Świdów, co przetrwali Katarzynę carycę i Murawiewa Wieszatiela i orali ziemię „ukochaną, siwą, ubogą“, kołysani do snu legendą złotą o Polsce-Matce, która kiedyś zmartwychwstała...

A teraz zgrzyt rzeczywistości, kiedy sen ciałem się stał!

„Przetrwaliśmy Moskali, Niemców, może i to przetrwamy — mówi udreżony, zrujnowany podatkami, szkanowany — Niedobitowski — my z twardego drzewa jesteśmy“.

„A komu to potrzebne, abyście przetrwali?.. Spytaj się, czy Warszawa-Macierz, co nas krzepiła i uczyła w dniach niewoli, wie co o nas teraz, myśli i pamięta, żeśmy tu dotrwali, na jej naukę i przykład“.

Chłop miejscowy mówi apatycznie na pytanie, czy dobrze mu teraz? „Kto ma dolary, temu dobrze, a kto kraść umie, to mu także dobrze...“

Polak kresowiec jest ubogi, a kraść nienauczony, więc jest mu źle... Gorycz zalewająca serce, czyni go może niesprawiedliwym. Chciałoby się fakty malowane przez Rodziewiczównę uważać za nieprawdopodobne, a z ciężkim smutkiem trzeba sobie rzec, że najprawdopodobniej są one ściśłem odzwierciedleniem rzeczywistości. Bezmyślna biurokracja z jednej strony, triumf nieuczciwości i chamstwa duchowego nad jednostkami o wysubtelnionem poczuciu honoru, toż to zjawisko powtarzające się w całym świecie powojennym. Tak też sobie i tłumaczą swoją niedolę bohaterowie Rodziewiczówny, ale gorzka dola łamie ich i daje temu odzewowi, wychodzącemu z ust sędziwej, kresowej bojowniczk, akcent tragiczny: Morituri te salutant patrial

Dopiero w ostatnim szkicu p. t. „Świątek“ wybucha, rzewna, niezgaszona niczem miłość do ziemi, wód i lasów i budzi nadzieję w zagojenie ran i przetrwanie, gdyż miłość ma w sobie zawsze siły żywotne. Bezpłodną i bezpotomną jest tylko nienawiść.

K. Bielańska.



PRZED NOWYM SEZONEM.

Ubiegły sezon teatralny podobny był do swych licznych poprzedników z tego, że dyrekcjom teatrów nie dał dostatecznego (!) zadowolenia finansowego, zaś krytyce, „otworzył” — jak się to mawiało — pole do najbardziej różnorodnych rozważań i do ogólnego, a tak nam już dobrze znanego niezadowolenia.

Kwasy wylewane na teatry przez krytykę, żądania reform i utyskiwania na tychże reform próby, stanowią, prócz paru chwalebnych wysiłków, stałe zajęcie krytyki stołecznej. Nikt się już tym kwasom nie dziwi i coraz mniej ludzi interesuje się nimi. Nie znaczy to bynajmniej, by ludzie, znudzeni krytyką, interesowali się samym żywym teatrem. Raczej przeciwnie: teatry idą coraz gorzej i coraz ciężiej związać u nich oba, niesłuchanie od siebie odległe końce — artystycznej doskonałości i kasowego powodzenia. Powody? „Różni różnie plotą”: jedni o kinie, drudzy o „przeżyciu się współczesnych dekoracji”, inni jeszcze wołają o reżysera, a jeszcze inni chcieliby reżysera raz na zawsze z teatru wyrzucić. Są także ludzie, którzy coś prawią o osłabieniu twórczości dramatycznej, którzy dają nawet przykłady, cytują świetne kiedyś nazwiska, które dziś zbladły jak papier... Ale ich nikt już nie słucha. Tymczasem publiczność zachowuje rezystencję pasywną i do teatrów nie chodzi. Oto jedyny dziś widoczny plon sporów.

Żeby jakoś tę rezystencję przełamać, teatry biorą się jednak na sposoby. Sezon nadchodzący, a raczej jego narodziny, różnią się niesłuchanie od poprzednio obchodzonych prymicji. Podczas gdy dawniej każdy dyrektor teatru starał się o jaknajobitszą i najpiękniejszą reklamę, obiecywał złote i wysokie góry, dziś teatry milczą jak grób i nie zapowiadają niczego. Zamiast dawnej, kosztownej reklamy, wybrano dostojne, wyniosłe milczenie. Poprzez gęste całuny dyrekcyjne skąpe tylko promyczki światła przenikają do rzesz spragnionych (?) teatralnego cudu i dlatego o sezonie następnym niewiele da się powiedzieć. Coś jednak powiedzieć można.

Teatry miejskie pod ogólnym przewodnictwem popularnego historyka p. Artura Śliwińskiego, zmniejszyły swą czteropułkową dywizję w jeden pułk. Ubył teatr Bogusławskiego, placówka pracy prawdziwych teatralnych zapaleńców, tak silnie przez swych społeczników w ubiegłym sezonie popieranym i tak niesłusznie zupełnie przez nich opuszczonym. Podobno ludzie, którzy „widzą rzeczy w górę”, zmienili zupełnie swój pogląd na społeczną konieczność tego teatru. Ha trudno: „dignitates faciunt aspectus” — czyli ranga zmienia pogląd. Tymczasem Irena Solska, Karol Adwentowicz i Wilam Horzyca starają się poprowadzić ten teatr we własnym zarządzie. Jak wieść głosi, obiecano im w rządzie subwencję, zaś w magistracie rolę. Dotychczas czcigodna ta trójka ludzi chcących pracować dla sztuki, kursuje codziennie od siedziby rządu do siedziby miasta (nie chcę mówić „głowy” — ponieważ głowa nie siedzi) i uzyskuje, coraz piękniejsze i coraz obfitsze obietnice. „Czas wszystko zrealizuje” — jak mówią na giełdzie.

Opera, jak corocznie, ma nie istnieć. Konieczność istnienia tej instytucji muzycznej, jedynej w Polsce jest dostatecznie znana, aby o niej trzeba było mówić. Klącą się jeszcze co coś chóry czy orkiestra, ale się to przecież wszystko wyrówna. Opera musi być i obecna dyrekcja nie zechce chyba na swą zasłużoną głowę ściągnąć herostratowej sławy.

Ubył z opery Kiepara, tenor świetny, który nie uzyskawszy drobnej podwyżki w operze warszawskiej, uzyskał największą w Europie gażę za granicą. Z resztą będzie to samo.

Teatr Narodowy zmienił dyrektora już po raz trzeci. Po p. Kazimierzu Kamińskim obejmuje to stanowisko p. J. Lorentowicz. Na głównego reżysera pozyskał ten teatr p. Teofila Trzczyńskiego, dotychczasowego dyrektora teatru w Krakowie, który próbował tam swych sił w reżyserkim zakresie. Pp. Pichor, Śliwiński, Kotorbiński i Roland, przeszli na emeryturę. Do Łodzi pojechała

Dziewońska, nie zaangażowano, z niewiadomych dla znawców teatru powodów, artystki tej miary co p. Rotter-Jarnińska.

Na otwarcie sezonu grane będą „Śluby panińskie” — reżyserji pana Leszczyńskiego, poczem nastąpi „Sen srebrny Salomei” — reżyserki u nas debiut p. Trzczyńskiego.

W teatrach szczymanońskich świecić będzie nadal talent pierwszej w Polsce wielkości p. Przybyłko-Potrockiej. Pozatem zmiany w personelu małe. O repertuarze nie wiemy nic.

Teatr Letni utracił na rzecz nowopowstałej farsy Majdego najświetniejsze swe siły: Ćwiklińską, Fertnera i Waltera, przybył natomiast Zelwerowicz. Przyszłość dwu podobnych do siebie teatrów pokaże, kto wygra: Chaberski czy Majde. Oby się obu udało.

Teatr Niewiarowskiej ogłasza komunikat najbardziej obiecujący rozkosze artystyczne: zaangażowano tam (dosłownie) „Kilka tancerek młodzieżowych”. Prawdziwi znawcy sztuki winni być zadowoleni.

Taki to będzie przyszły sezon. Jak widzimy — nie wiele o nim można powiedzieć, a zapewne jeszcze mniej prorokować. Skoro jednak o proroczwie mowa to powiem jak Mahomet: będzie o będzie, a jak będzie, o tem tylko Allah wie.

Z. P.

TEATR NARODOWY.

„Śluby panińskie” — komedia w 5-ciu aktach A. Fredry
Reżyserja J. Leszczyńskiego, dekoracje W. Drabika.

Na inaugurację nowego sezonu wybrał Teatr Narodowy „Śluby panińskie” Al. Fredry. Przemiała ta komedia, może najlepsza ze wszystkich komedji Fredry, daje szerokie pole do opisu dla gry aktorskiej. Tekst skrzy się od doskonałych powiedzeń, a dialog aczkolwiek pijany wierszem tak jest naturalny i szczery, jak gdyby prowadzili go żywi ludzie. Bo właściwie rozkosznie żywe są te wszystkie postacie, które los i kaprys autora zgromadził w małym dworku pani Dobrońskiej. Dlatego to zbytnia stylizacja nie wychodzi nigdy na korzyść „Ślubom panińskim”, swoboda i wdzięk natomiast podnoszą niesłuchanie zalety tej komedji.

Zrozumiał to Jerzy Leszczyński, któremu powierzono reżyserję „Ślubów”. Dał doskonałe tempo sztuce, umiejętnie podkreślając rysy charakterystyczne każdej postaci. Sam kreował Gucia, dając Fredrowskiego szalawile wdziękiem niezrównanym. Gucio, Leszczyński był uosobieniem prostoty, humoru, i szczerego uczucia, które często w takich właśnie lekkoduchach obiera sobie sidlisko. Nie, naprawdę trudno dziwić się panie Anieli, że tak łatwo sprzeniewierzyła się, swoim ślubom zwłaszcza, iż ta spokojna i zimna na pozór istotka oddawna kocha miłość, ztąd jej „nienawiść” do mężczyzn, istot niewiernych i złośliwych, które z miłości chcą czynić zabawkę. Panna Majdrowiczówna, była Anielą trochę bladą, ale pełną wdzięku. Nie możemy tego powiedzieć o Klarze pani Gromnickiej. Nie przeczę, że miała p. Gromnicka zadanie o wiele trudniejsze, Klara; złościca, trzpiotka, gaduła, wymaga od kreującej ją artystki warunków zupełnie nieprzeciętnych i subtelnej intencji aktorskiej, żeby nie stać się postacią nieznośną. P. Gromnicka umiała kilka dobrych momentów, naogół jednak, Klary nie możemy zaliczyć do udanych ról tej artystki. P. Brydzyński, w pojęciu roli Albina odbiegł od dotychczasowych szablonów. I bardzo słusznie. Albin-płaksa, bez odrobiny poezji, był postacią tylko śmieszną, zbyt wyraźną karykaturą w zestawieniu z resztą prawdziwych, żywych ludzi. P. Brydzyński starał się podkreślić zlekka romantyczny charakter Albina, przez co wzdychający kochanek panny Klary stał nam się bliższy i nawet chwilami budził sympatję.

Pani Pichor Śliwicka z rol Dobrońskiej, stworzyła małe arcydzieło. Umiejętna kultura artystyczna tej znakomitej artystki, szlachetność gestu i miła pogoda, złożyły się na całość dziwnie szarmonizowaną i jednolitą.

Mistrz Frenkiel wcielił się w Radosta z właściwym sobie talentem odczuwania typów Fredrowskich. Należą mu się jak zwykle wszystkie superlatywy, zwłaszcza ze scen z Guciem, które miały w sobie humor, temperament i wdzięk nieklamany.

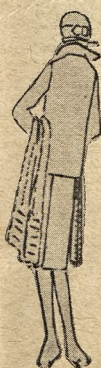
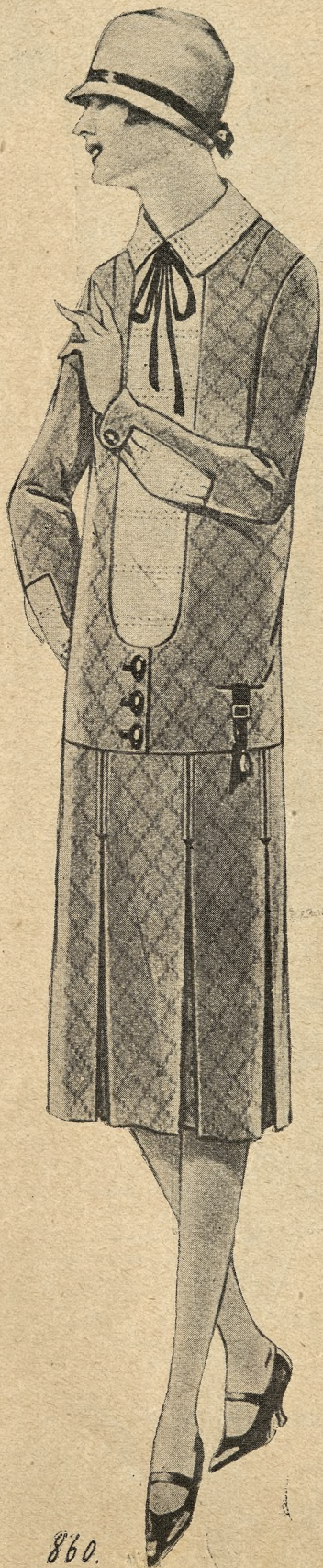
Zasłużony artysta p. Rapacki podjął się małej roli Jana. Należą mu się za to słowa szczerzej podzięk, gdyż dzięki niemu i ten epizodzik wypadł doskonale.

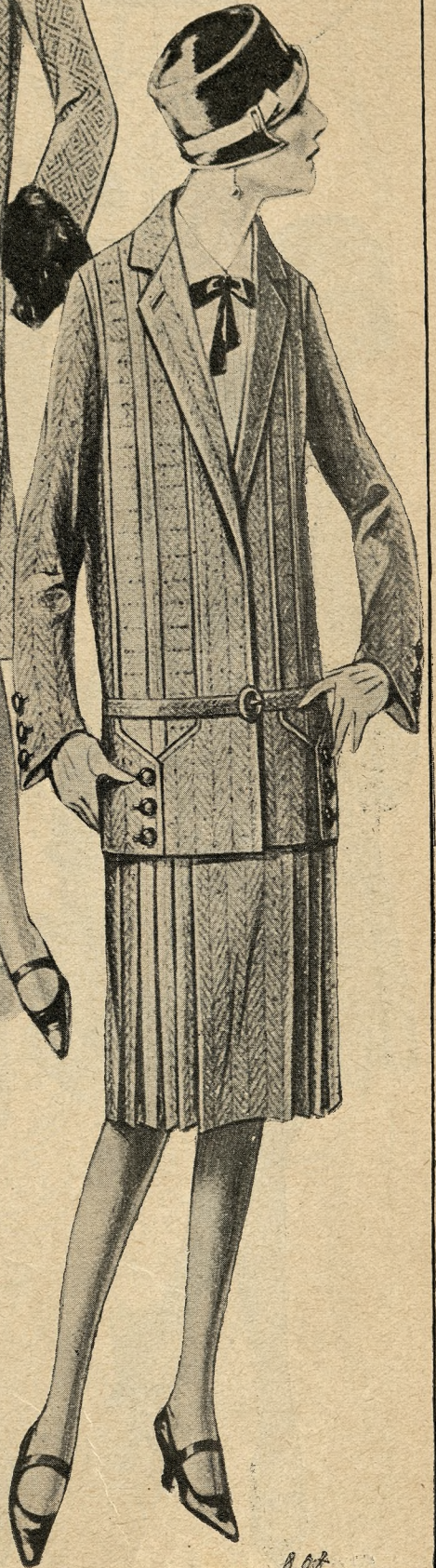
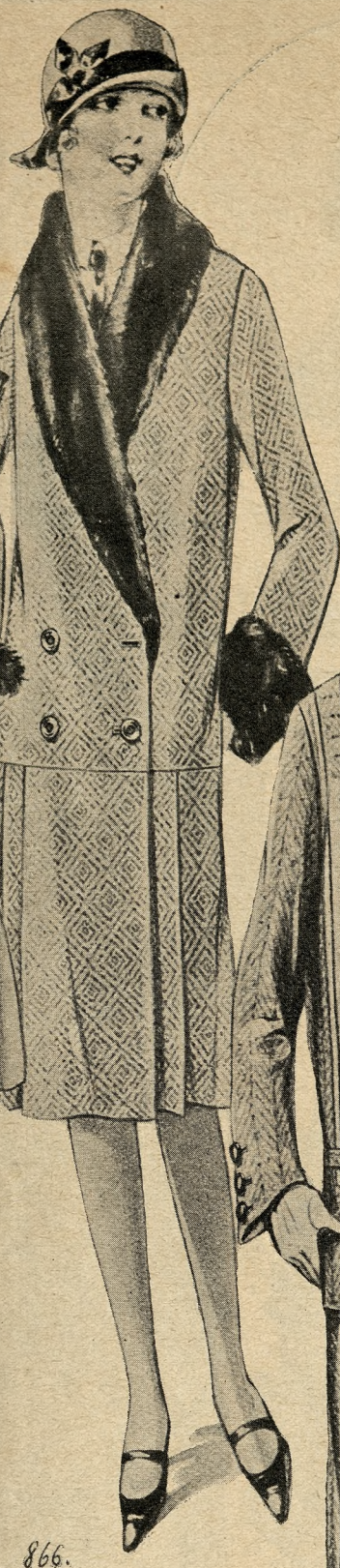
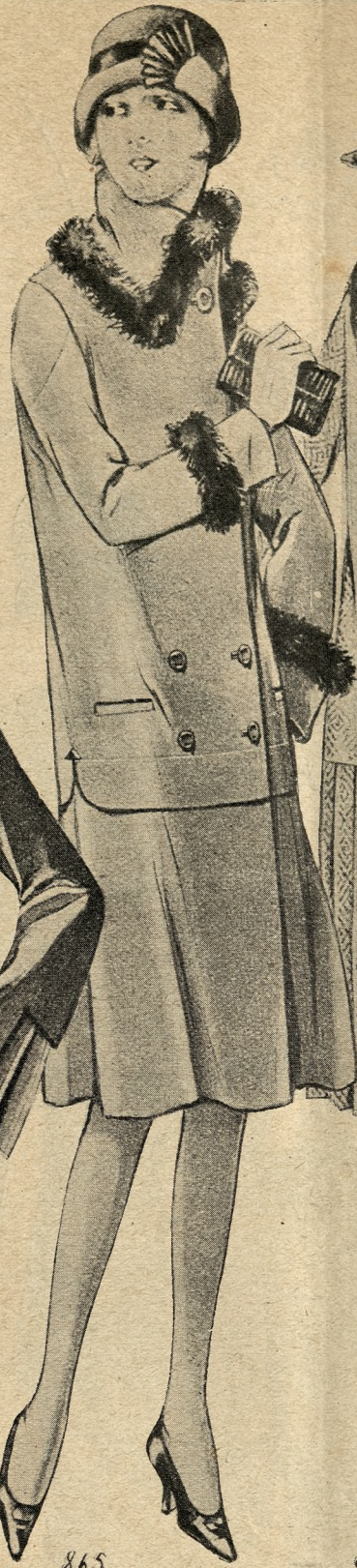
Dekoracje p. Drabika — wewnątrz dworku — bardzo ładne. Krótko mówiąc, sezon rozpoczął się dobrze. Oby tak dalej!...

Z. P.











868.



869.



870.



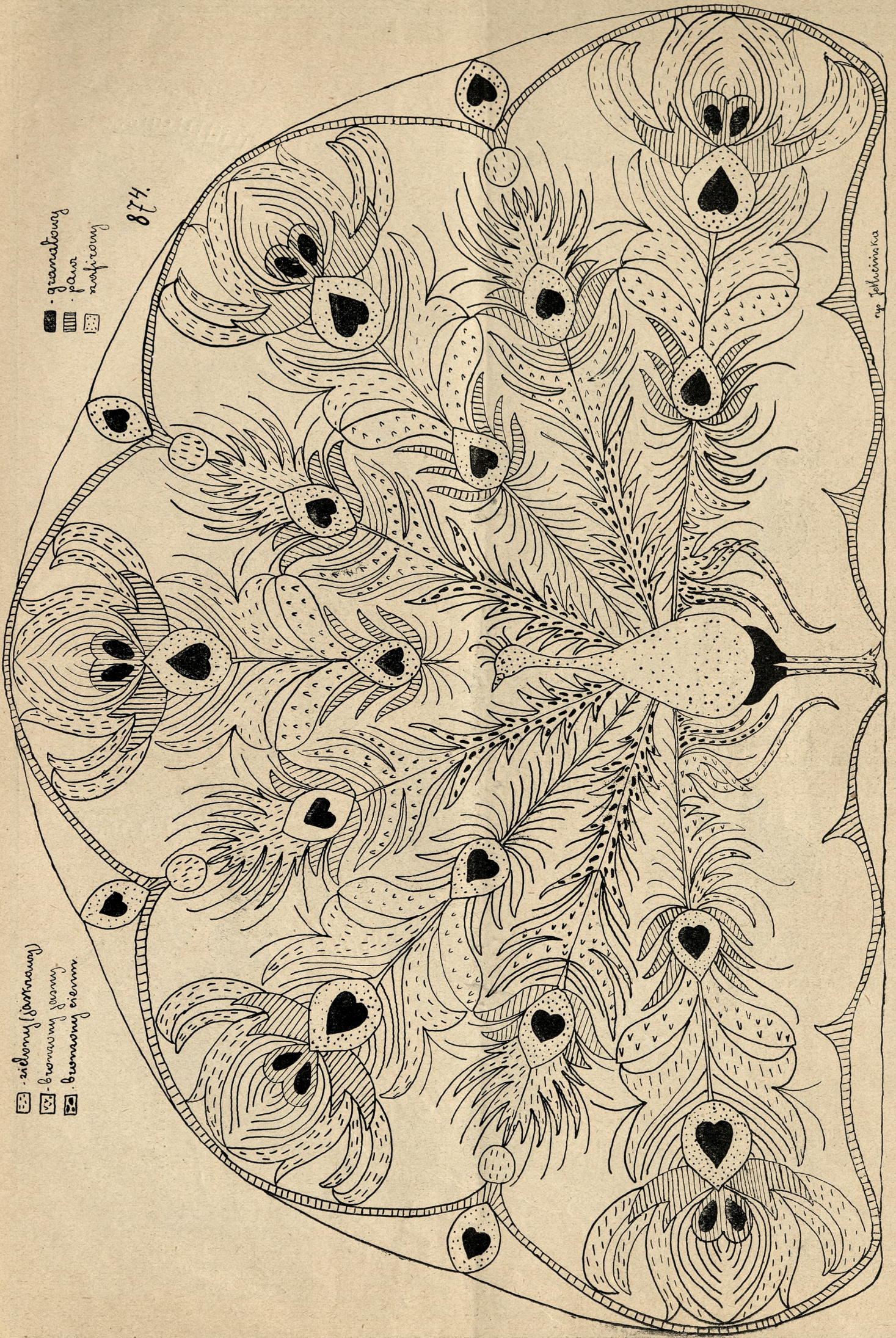
871.



872.



873.



granatowy
paw
napiromy

874.

ry. Jędrzejewska

karmazynowy
fioletowy
bursztynowy



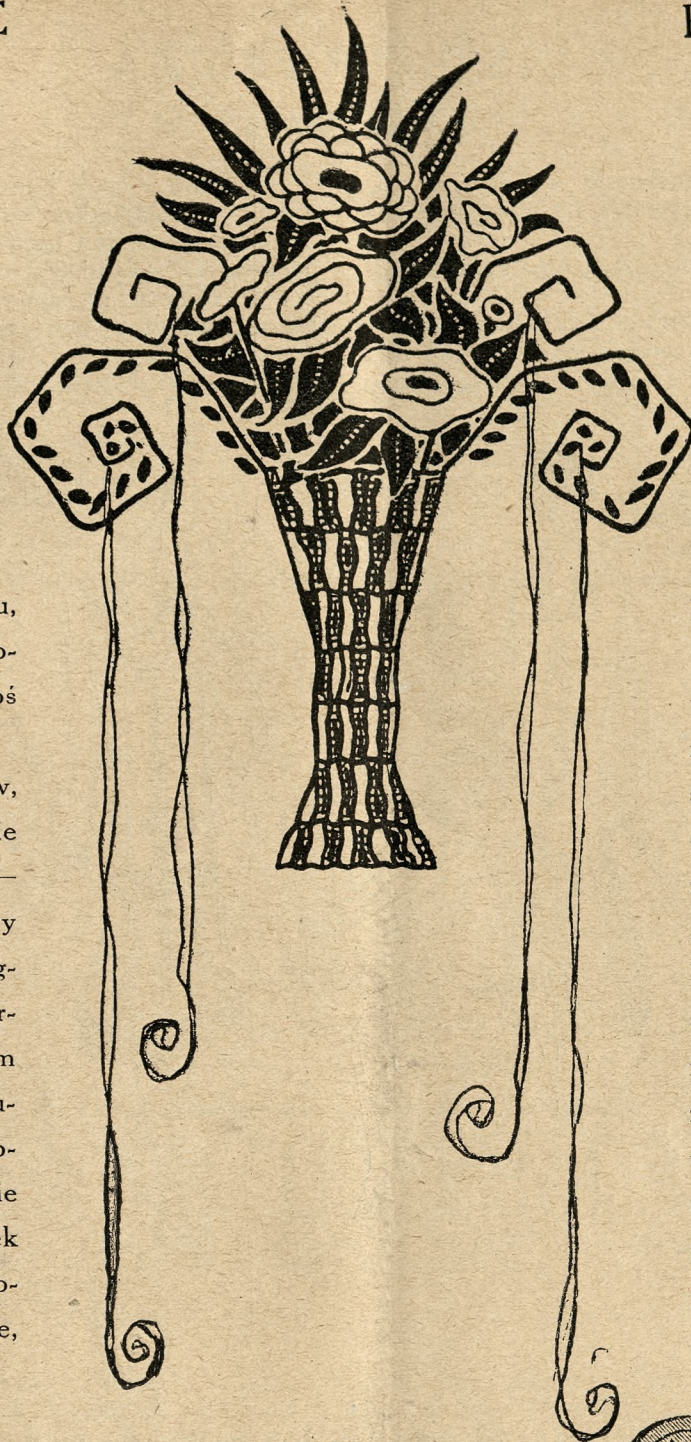
NAJMODNIEJSZE

PARAWANY



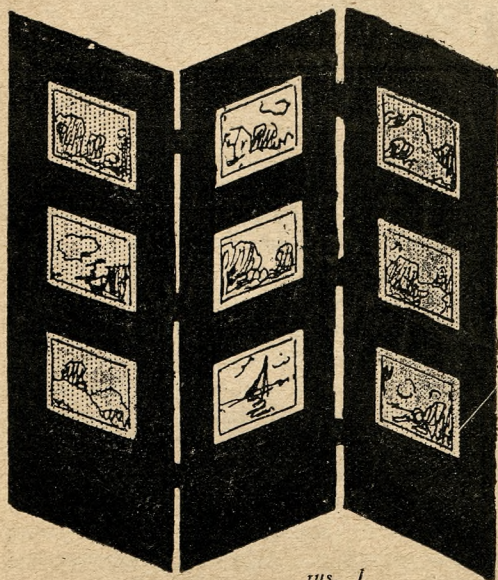
Ładny parawanik mile dopełnia urządzenie pokoju, jeśli jest umiejętnie dobrany i odpowiedni do całości umeblowania, a przytem jest to mebel, który łatwo wykonać można w domu, nieraz własnymi siłami, a co najwyżej przy pomocy jakiegoś domowego stolarza.

Modele dwóch parawanów, które tu podajemy, są właśnie takie łatwe do wykonania — Pierwszy, to parawan zrobiony na ramie drewnianej i obciągnięty szarem płótnem, materiałem meblowym, lub obiciem papierowym. Jako ozdoba, służą obrazki-akwarelki wprawione w otwory wycięte w płótnie lub obiciu. Zamiast akwarelek można wprawić ładne reprodukcje odpowiednio dobrane,



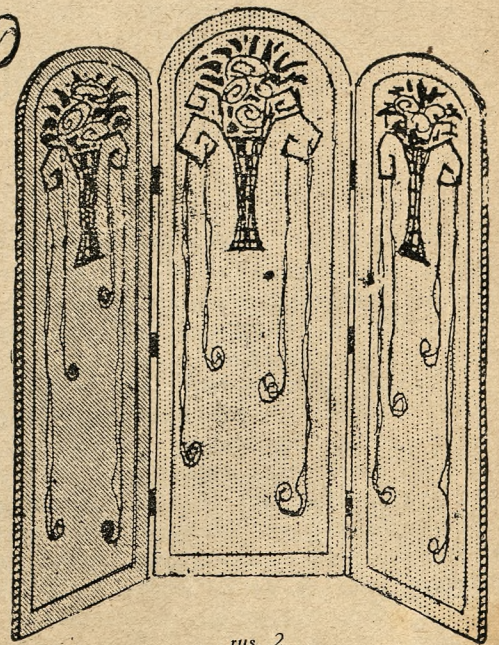
Odwrotną stronę parawanu trzeba także podbić tym samym materiałem, lub obiciem, a górę, gdzie się to obicie spotka ze sobą wykończyć galonikiem, lub torsadką.

Drugi parawan, ręcznie haftowany, wymaga już więcej roboty, ale jest odpowiedni do salonu, lub buduaru. Rama drewniana powinna w nim być złożona, a jako materiał użyć musimy szarego płótna, lub grubego meblowego atłasu. Haft odpowiedni w kolorach do tła i urządzenia pokoju, może być zrobiony ręcznie lub maszynowo. Wzór do wyhaftowania podajemy w powiększeniu, można go jeszcze bardziej powiększyć, jeśli rozmiary parawanika będą tego wymagały.



rys. 1

a nawet do tego samego pomysłu można zastosować zręcznie ułożone karty pocztowe. Parawanik taki może być równocześnie miłym wspomnieniem jeśli wprawimy weń widoki jakiejś ulubionej miejscowości lub obrazki, czy też pocztówki, stanowiące pamiątkę z jakiejś odbytej podróży.



rys. 2

LIST Z PARYŻA

„PULL-OVER“.

Pull-over na widowni, pull-over w pełnym ruchu — w magazynach, na wystawach, na ulicy, w dancingach a nawet i w teatrach.

Bo to moda i nikt tym razem nie zaprzeczy, że nad wyraz udana.

Kiedy mówimy o pull-over'ach, czy nie macie przed sobą, Szanowne Panie, reminiscencji zwykłych wełnianych swetrów z trykotu szarego, lub beige, pozbawionych wszelkiej elegancji, obcisłych u szyi, obcisłych u dłoni, obcisłych wszędzie i które mocno przypominają sportowe trykoty.

A jednakże, jak bardzo daleko odeszliśmy w dzisiejszej koncepcji od tych prostych modeli bez szyku, bez wdzięku, bez kobiecości.

Dzisiejszy „pull-over“ stał się niezbędnym akcesorium toaletowym, i rzeczywiście biorąc pod uwagę doniosłość i różnorodność jego użytków, jest on często mylnie uważany za bluzę lub „vareuse“, ta ostatnia jednak pozwala na więcej fantazji w kroju, bo widzimy je marszczone na bokach, a inne wyrzucane w pasie; „Vareuse“ z materiału bogato haftowanego może służyć na wieczorowy użytek np. na obiad proszony — a „pull-over“ ma właściwie skromniejsze aspiracje, co bynajmniej nie znaczy, że traci on na elegancji; bynajmniej, ostatnie modele są szczytem wykwintu.

Jedną z cech kompozycji toaletowych tego sezonu, są bezwzględnie ciekawe połączenia materiałów różnorodnych, jak na przykład pull-over z jedwabnego trykotu ze spódnicą z crêpe de chine'u, albo też — do białej toalety ze spódnicą i rękawami plisowanymi, rodzaj „maillot“ bez rękawów robiony z jedwabiu idącego stopniowo od seledynu do „vert empire“, od słomkowego do pomarańczowego, od lila do fiołkowego.

(rys. 1) Jeden z wielkich metrów tutejszej mody, miał śmiałą ideę połączenia cienkiego jersey'a z wzorzystym woalem; tenże woal znajduje się na kamizelce, przy szyi i mankietach. (rys. 2).

Wreszcie w licznych modelach idea odmiennych obramowań od tła ogólnego, znajduje chętnie zastosowanie.

Tak na przykład „pull-over“ oblamowany skórą która w kolorze mocno odcina się od całości, co wraz z guziczkami w tym samym tonie daje całość nad wyraz udaną. (rys. 3).

Tak, „pull-over“ jest panem sytuacji; pull-over dyktuje światu kobiecemu nieubłagane prawa.

O nim się mówi, o nim się myśli, o nim się marzy! Jest młodociany, wdzięczny, twarżowy.

A zresztą anglo-saksoński dźwięk tego słowa dodaje mu sprytu i snobizmu. To moda...

Sekwa.



POLSKA WSPÓŁCZESNA

XIII

SZKOLNICTWO W POLSCE

Szkolnictwo polskie na ziemiach Rzeczypospolitej rozwija się dopiero od chwili przywrócenia niepodległości Państwa. Wyjątek stanowi b. Galicja, gdzie już za czasów zaborczych istniało szkolnictwo polskie dosyć wysoko rozwinięte.

Szkoły obecnie istniejące w Polsce możemy podzielić na szkoły publiczne i prywatne — biorąc pod uwagę czy szkoła jest utrzymywana, jako przedsiębiorstwo przez osoby prywatne, czy też przez Państwo i związki publiczne. Pod względem poziomu szkół, możemy szkoły w Polsce podzielić na wyższe, średnie ogólnokształcące, zawodowe i niższe lub powszechne. W roku 1923/24, który wobec braku dokładnej statystyki z roku następnego przyjmujemy za podstawę niniejszego opisu, było w Polsce ogółem 27.458 szkół

niższych, 764 szkół średnich, 850 zakładów zawodowych i 17 wyższych zakładów naukowych. W szkołach tych pobierało naukę łącznie 3.604.926 uczniów i słuchaczy, a wykładało, prócz profesorów Uniwersytetów i nauczycieli szkół zawodowych, 75.400 nauczycieli. Najwięcej szkół wogóle było w b. Kongresówce, następną co do liczby szkół była Galicja, potem zaś Województwa b. zaboru pruskiego. Najmniej szkół (i uczniów pobierających naukę) było w województwach wschodnich.

Szkolnictwo wyższe rozwijało się głównie w m. st. Warszawie. Było tam 7 szkół wyższych o łącznej ilości 17.400 słuchaczy. W Krakowie były 3 wyższe zakłady naukowe akademickie i 6.249 słuchaczy, we Lwowie 4 wyższe zakłady naukowe i 9.135 słuchaczy.

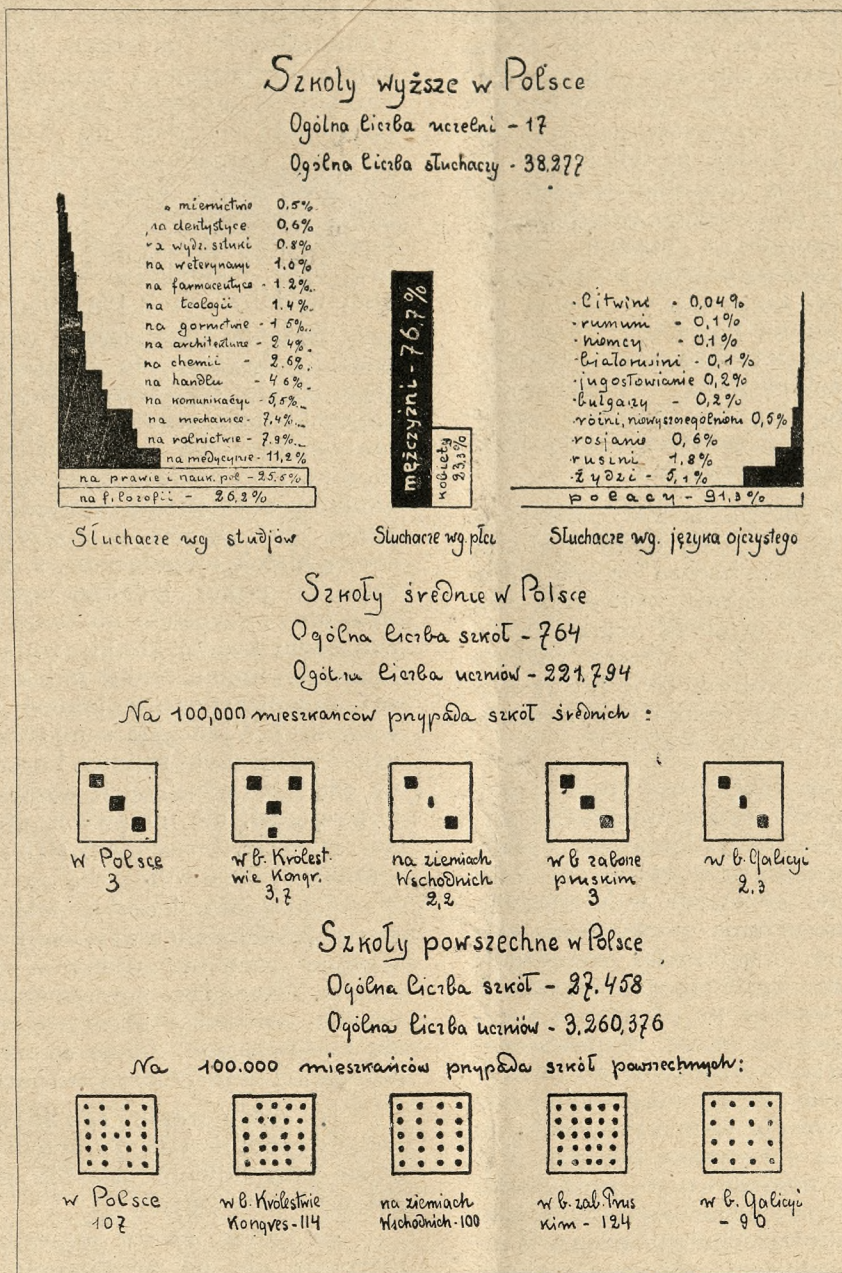
Ponadto istnieją Uniwersytety w Poznaniu, w Wilnie i w Lublinie, z łączną liczbą 5940 słuchaczy.

Podział słuchaczy według płci wykazuje, i ogółem pobierało naukę w szkołach wyższych 29.346 mężczyzn i 8.931 kobiet (23%). Najwięcej kobiet uczęszczało na wydział filozoficzny (blisko 66% słuchaczek) i na prawo (10% słuchaczek). Mężczyzn najwięcej uczęszczało na prawo (30%) i na filozofję (20%).

Najwięcej słuchaczy i słuchaczek, wogóle, było na filozofji, gdyż 30,9%, następnie na prawie i naukach politycznych 25,4%, na medycynie 12,2% i na mechanice 6,5%. Tablica unaczynia podział słuchaczy i słuchaczek na pozostałe zawody.

Z pośród szkół zawodowych było technicznych 36, agromomicznych 103, handlowych 217, rzemieślniczo - przemysłowych 74 i dokształcających 290.

Szkół średnich ogólnie - kształcących przypadało w całej Polsce około 62 na 100 uczniów chłopców i około 39 na 100 dziewcząt pobierających naukę szkolną. Ogółem było szkół średnich ogólnie -



kształcących z językiem wykładowym polskim 633 z językiem wykładowym rusińskim 20, białoruskim 2, niemieckich 34, rosyjskich 10, litewskich 1, francuskich 1, żydowskich 6, hebrajskich 7 i mieszanych (polsko - rusińskich, polsko - niemieckich, polsko - żydowskich) 18.

W szkołach średnich ogólnie - kształcących 68% uczniów było wyznania rzymsko - katolickiego, 21% mojżeszowego, 4,3% grecko - katolickiego, 4,1% ewangelickiego, oraz 2,1% prawosławnego.

Szkół powszechnych było ogółem 21.996 z językiem wykładowym polskim, 1.102 z językiem niemieckim, 2.996 z językiem rusińskim, 32 z białoruskim, 53 z litewskim, 42 z czeskim i 9 z rosyjskim.

Ponadto były 344 szkoły z językiem mieszanym polsko - rusińskim i polsko - żydowskim. Najwięcej szkół powszechnych było w Województwie Poznańskim, bo 2.813. Jedna szkoła przypadała tam na 700 mieszkań-

ców. Najmniej szkół powszechnych przypadało w województwie Poleskiem, bo tylko 680, co stanowi jedną szkołę na 1.300 mieszkańców.

MIESZKANIE I JEGO KULTURA

Pod nazwą powyższą otworzono w Warszawie w dniu 28 sierpnia r. b. wystawę w Dolinie Szwajcarskiej.

Gdzież potrzebniejsze wskazania o kulturze mieszkania niż w Warszawie? Gdzie w Europie jest więcej bezdomnych, niż u nas? Tych, którym pomoc społeczna — jakże nieskora i nietroskliwa! — daje z łaski dach nad głową w barakach i „blaszankach“, i tych innych, o wiele liczniejszych, którzy go zdobywają sami w takiej postaci, że w niemniejszym stopniu zasługują na miano bezdomnych... Czyż nie jest bezdomną rodzina, gnieźdząca się z drugą rodziną w piwnicy lub na poddaszu, zalewanem w każdy deszcz przez dziury w dachu? Czyż nie zasługują na nazwę bezdom-

nych dzieci, żywione po garkuchniach, wychowujące się w ciasnych ciupkach — lub na ulicy? A przecież istot tej kategorii jest w Warszawie o wiele więcej niż tych, którzy mieszkają w ludzkim, jako tako kulturalnym znaczeniu.

Pobudzić inicjatywę w kierunku dostarczania mieszkań tym, co ich nie posiadają; pouczyć, jak najekonomiczniej i najestetyczniej zużytkować siedzibę już posiadaną — oto prosty cel, który przypuszczalnie przyswiecał organizatorom wystawy

Nie wiemy, w czyich rękach spoczywała ta praca, i dlatego tem śmieiej możemy powiedzieć: zadanie postawione było jasno, ale dla wykonania go nic nie uczyniono. Szereg firm prywatnych dał trochę ekspoz-

natów, luźniej lub ściślej związanych z urządzeniem mieszkań ludzi zamożnych. Taka reklama jest rzeczą w pewnej mierze pożyteczną, o ile jest odpowiednio zorganizowana. Wielkim powszechnym błędem nowych wystawców jest nieujawnianie cen wystawionych przedmiotów. Na całej wystawie bodaj, że tylko dwie czy trzy firmy (meble gięte, wyroby szczotkarskie, pralnie) zaopatrzyły się w widoczne dla każdego zwiedzającego wywieszone cenniki ilustrowane z cenami. Bardzo często nawet asystujący wystawionym przedmiotom przedstawiciele wystawców nie mieli, czy nie chcieli podawać cen. Zamiar kupna powstaje jednak tylko po skojarzeniu wrażenia wzrokowego z zawartością woreczka i oceną subiektywną wartości przedmiotu. W tem pominięciu czynnika ceny przy reklamie, która musi liczyć się z nabywcą detalicznym, ujawnia się brak zdolności handlowych.

Na pochwałę wystawców zaznaczyć należy, że sporo eksponatów świadczyło o wysokim poziomie przemysłu krajowego. Zwłaszcza bardzo bogato reprezentowana, znana zresztą powszechnie, wytwórnia obić pokojowych, druga, niemniej ustaloną markę posiadająca, fabryka obić meblowych, niektóre zakłady stolarskie i t. d. dowiodły, że wyroby polskie nie ustępują zagranicznym pod względem smaku i wykonania, a nawet je niejednokrotnie przewyższają.

Tyle zapisać można na dobro wytwórczości polskiej. Ale to bynajmniej nie wyczerpuje zadań wystawy, mającej przecież przedewszystkiem cele dydaktyczne, pouczające. W tym zakresie uczyniło coś jedynie Towarzystwo zakładów gazowych w Warszawie. Znalazło ono sobie pomieszczenie poza ciasną salą ogólną i pokazało wzorowe, współczesne urządzenie kuchenne. Widzieliśmy tam: dostępną dla wszystkich kuchnię; przyrząd do pieczenia na płomieniu gazowym; żelazko do prasowania na gazie; rozpowszechnione w zakładach fryzjerskich urządzenie do grzania rurek do karbowania; piecyk gazowy do grzania wody na kąpiel i do zmywania wraz z wanną i zmywakiem; pralnię mechaniczną i szafę — suszarnię bielizny. Tuż obok tablica, pouczająca poglądowo o produktach ubocznych, otrzymywanych przy odgazowywaniu węgla, tablica, przedstawiająca rozpowszechnienie gazu w Warszawie i t. d. — jednym słowem, rozumna reklama w połączeniu z pouczaniem zwiedzającej publiczności, jak racjonalizować gospodarstwo domowe.

Niedaleko od zakładów gazowych skromny wystawca umieścił zwykły stolik z nowością, ze wszechmiar zasługującą na poparcie. Jest to ochraniacz, zabezpieczający od wypadków przy myciu okien. Zwykła mocna linka z jedną sprzączką, zakładającą się na odpowiednie kółko umocowane w futrynie, i inną sprzączką, pozwalającą na opasanie osoby myjącej okno. Zdaje się, że wynalazek ten przy prostocie swej jest praktyczny. Należałoby go rozpowszechnić w drodze nakazu policyjnego dla zapobieżenia nieszczęściom, przytrafiającym się u nas niestety dość często skutkiem absurdałnego systemu otwierania warszawskich okien nazewnątrz, zamiast do wnętrza pokoju.

Dobrze — powiecie czytelniczki. Ale gdzie wzory „kulturalnych“ mieszkań, gdzie wskazówki wykorzystania przestrzeni i estetyki wnętrz, dostosowane do rozmaitych możliwości finansowych? Gdzie to wszystko, co w obfitości dają od dziesiątków lat analogiczne wystawy zagraniczne? Czy skorzystano ze sposobności, by wstrząsnąć zaspianą świadomością społeczeństwa przez uprzytomnienie naszej bezprzykładnej nędzy mieszkaniowej? Czy postarano się o wskazanie projektów, dróg, jakichkolwiek zamierzeń, któreby pomogły nam wydobyć się z tego bagniska?

Sądzone nam dzisiaj stawiać pytania bez odpowiedzi. Bowiem nie możemy uważać za odpowiedź tego działu wystawy, który wprowadzie nazwał się „mieszkaniem wzorowym“ ale jest wszyskiem, tylko nie wzorem dla kogokolwiek, a więc właściwie jest niczem. Po pierwsze prawdopodobnie wskutek braku środków zewnętrznie wygląda to wcale nie na mieszkanie, ale na coś w rodzaju szopy, podzielonej na szereg klatek, niepołączonych ze sobą i mających przedstawiać: pokój jadalny, sypialnię, łazienkę, pokój dziecienny i pozostałe ubikacje mieszkaniowe. O przeznaczeniu każdej klatki wnioskujemy z napisu i szablonych mebli. Ani to ładne, ani starannie pomyślane, ani przedstawione z jakimś kosztorysem. POCO to wszystko? Widocznie sami twórcy musieli swój pomysł uznać za niezbyt fortunny, bo umieścili go tak, że ogromna część zwiedzających wystawę wcale tam nie trafia i wychodzi, nie ujrawszy „mieszkania wzorowego“, na szczęście, bez żadnej straty dla swej umysłowości i praktyki życiowej.

Dla ścisłości dodać należy, że tuż obok na uboczku pomieszczono plany, wykresy i modele, przedstawiające „ruch budowlany“ w stołecznym mieście Warszawie. Rozmiary i przygotowanie tego działu odpowiadają „wielkości“ dzisiejszego warszawskiego przemysłu budowlanego. Zdaje się zresztą, że nawet tutaj pominiętonie które rzeczy istniejące, np. osiedla wojskowe.

Na zakończenie tego niewesołego przeglądu pozwolimy sobie przytoczyć autentyczną rozmowę podsłuchaną przypadkiem właśnie przy oglądaniu planów kolonij budowlanych.

— Patrę na to wszystko z zazdrością, jak na marzenie nie do zrealizowania — mówi jakaś pani, której akcent odrazu zdradza „repatryjantkę“.

— No, to ja się lepiej od pani urządziłem — tak samo śpiewnie podtrzymuje rozmowę jej towarzysz. Była taka chwila, temu dwa lata nazad, że można było się pobudować. Tam plac darmo i inne... A teraz wszystko poszło na lewo i nic jużbyś nie zdziałał...

Rodacy mili, Warszawianie i Polacy starszej i nowszej daty! A więc dlatego nie macie mieszkań, albo mieszkacie wbrew wszelkiej kulturze, bo u nas idzie zawsze albo na prawo, albo na lewo! Okazuje się, że w Polsce place, cegły i urządzenia domowe też posiadają zabarwienie polityczne.

A my naiwni sądziliśmy, że to są przedmioty, niemające nic wspólnego z żadnym stronnictwem... A. n.



REFORMA GOSPODARSTWA KOBIECEGO

We wzorowym gospodarstwie mechaniczny ład ustąpić winien wzorowej klasyfikacji przedmiotów codziennego użytku, racjonalnemu ich ugrupowaniu. Tylko w ten sposób można bez wysiłku utrzymać porządek, nie uciekając się za każdym razem do mozolnego porządkowania rozrzuconych nolens volens rzeczy. — Jeśli ugrupowania przedmiotów nie poprzedzi zastanowienie, utrzymywanie porządku stanie się sztyfową pracą, co dnia odnawianą.

Jaką metodą należy się posilkować przy klasyfikacji? Otóż przedewszystkiem, przebiegając myślą przedmioty, które chcemy uporządkować, zdajemy sobie sprawę z kategorii, na które można je podzielić. Okazuje się zwykle, że istnieje kilka principia divisionis (zasad podziału). Tak np. porządkując książki, możemy ułożyć je według formatu (podział najbardziej mechaniczny, nadający się tylko — do małego księgozbioru), według roku wydania i rzadkości druku (jeśli mamy do czynienia z kolekcją „białych kruków“), wreszcie podług treści. W tym ostatnim wypadku, zależnie od liczebności zbioru, przeprowadzamy podział zupełnie ogólnikowy (np. na książki historyczne, przyrodnicze, beletrystykę i t. p.) lub drobiazgowy (np. książki treści ekonomicznej mogą się rozpaść na teoretyczne i traktujące o polityce socjalnej; wśród pierwszych możemy odróżnić klasyczne dzieła ekonomiczne, historję doktryn ekonomicznych, podręczniki, monografie...). Zazwyczaj w obrębie jednego systemu klasyfikacji uwzględniamy jeszcze w podziałach inny, np. książki danej treści układamy według formatu, lub oddzielnie umieszczamy najbardziej wartościowe egzemplarze. Tu należy poruszyć drugie zagadnienie: koncentracji, t. j. skupienia wszystkich przedmiotów danej kategorii w jednym miejscu albo rozmieszczenia ich w paru miejscach. Przedmioty codziennego użytku (nakrycia stołowe, przyrządy kuchenne i t. p.) najlepiej przechowywać jaknajbliżej miejsca, w którym się niemi posługuje. W przeciwnym razie wykażą one tendencję opuszczania swych skrytek jakgdyby niemi powodowała jakaś magiczna siła. Natomiast rzeczy rzadziej używane, jako to książki, bieliznę, odzież, odświeżone nakrycia, wygodniej skoncentrować, ale unikając przesady. Tak np. znaleźć mogą pomieszczenie poza szafą biblioteczną: wydawnictwa ilustrowane, które się kładzie zazwyczaj na stole bawialnianym, t. zw. „livres de chevet“, książki kucharskie i t. p. Każda gospodyni winna śledzić za natu-

ralnym układem przedmiotów w jej mieszkaniu, jaknajbardziej się do niego przystosować, a raz ustalonego porządku ścisłe przestrzegać.

Jedną z najlepszych gospodyń, jakie znałam, kładła na dnie każdej szufladki kartkę z inwentarzem wnętrza; wszystkie kategorie przedmiotów, począwszy od bielizny, a kończąc na guzikach, szpilkach do włosów, receptach i pokwitowaniach miały wyznaczone miejsce.

Wyższy typ organizacji polega nie na dostosowaniu się do istniejących wewnątrz meblowych, ale przeciwnie na przekształceniu tych wewnątrz w myśl zasad klasyfikacji. Niekiedy nie jest to zbyt trudne, np. szafa biblioteczna odpowiada wszystkim wymaganiom, jeśli spełnia następujące warunki: 1) Jest dosyć obszerna, by pomieścić dany zbiór, ustawiony w jednym rzędzie, układanie dwóch rzędów powoduje dla osób korzystających rzeczywiście z księgozbioru, nieznośną udrękę. 2) Ma półki dosyć wysokie, by pomieścić największy posiadany format (albumy i t. p. kładzie się zwykle na oddzielnej półce. 3) Daje łatwy dostęp do książek. Tego ostatniego warunku nie spełnia większość szaf dawnego typu, zbyt głębokich i posiadających po obu stronach tego rodzaju wnęki, iż trzeba sięgać poomacku ręką, by wydobyć pierwsze i ostatnie tomy danego rzędu. To też nawet przy najlepszej klasyfikacji powodujemy zamęt na całej półce, szukając jednej książki. Dlatego należy przyjąć typ biblioteki angielskiej, składającej się z płytkich półek, nakładanych w miarę przyrostu książek jedna na drugą. Szafki takie, ładnie wykończone i zaopatrzone w szklane drzwiczki do zasuwania oglądałam w sklepie Pabjanickiej fabryki mebli biurowych (E. Telatycki, Plac Dąbrowskiego 2); jak mnie objaśniła kupująca, cena 5 pojemnych półek, tworzących okazałą szafę, wynosi 380 zł. Sądzę, że osoby, dla których ta cena jest zbyt wygórowana, mogą obstać szafki w tym rodzaju u każdego zdolnego stolarza; niekiedy, jeśli szybki przyrost księgozbioru nie jest spodziewany, wystarczą półki przymocowane na stałe; czasem bardzo ładnie wygląda układ horyzontalny, t. j. szafka z 2—3 półek, ciągnąca się wzdłuż ściany, pozwala to ustawić na najwyższej półce bibeloty, rzeźby, doniczki z kwiatami. Oszklone drzwiczki zastąpić można zasuwaniami firankami z kretonu lub jakiegoś innego materiału; słowem, istnieje wielka ilość kombinacji, począwszy od najdostępniejszych (skrzynka z drzewa sosnowego), kończąc na zbyt kosztownych. *Felicja Sachówna.*

c. d. n.

BUKIETY

Po długim okresie uporczywych deszczy nareszcie dzisiaj wyrzało słońce, a czas był wielki, bo skąpane w melancholji dusze ludzkie straciły wiarę w lepszy dzień, co uśmiechnie się do nich radością życia przez jasne, a ciepłym przesiane promienie.

Ścieżki rozległego parku dobrotliwym zwirom usypane wypily w pogodną noc ślady niedawnej ulew, to też jedna za drugą snują się, więzione dotąd w murach sylwetki ludzkie, biegnąc ku słońcu. Jeszcze wczoraj wskutek deszczu brakło nam najmilszej osłody tego trwania w zimnych ścianach przygodnego pokoju, który w czasie letnich miesięcy, zdala od zacisznego własnego kąta, gościnnie przyjął nas na

swoje łono — bukietu, co koronkową więzią paproci, wonnym kwiatnych koniczyn pękiem, krasi pustkę gniazda przygodnego.

Aż dziw ile to na takich bujnych trawnikach, szmaragdową zarośniętych trawą, cudów znaleźć można, jakim powolnym w rękach naszych stają się narzędziem gałązki liljowych, drobnych dzwoneczków, delikatne główki firletki, kiście wybujałej trawy, białych koniczyn pachnące kuleczki, jaskrów złocistych oczka wesołe i całe bogactwo bezimiennych maleńkich roślinek, co snują ciche, skromne pasmo swego kwietnego żywota, zapoznane, niedocenione, a przez to żarłocznej pożądlivosti ludzkich apetytów dalekie.

Tutaj w Zakopanem, gdzie o tak ładnie i barwnie malowane wazony łatwo, bo taniością swą wszystkim dostępne, dekoracyjne są przytem i w swoistym charakterze utrzymane, nic tak slicznie nie dekoruje pokoi, jak te właśnie bukiety na przydrożkach i ławkach zbierane, zresztą wszędzie i zawsze najładniejsze, a ułożone ręką, którą artystyczne kieruje poczucie są niejednokrotnie skarbnicą uroku cenniejszą, niż cieplarniane kosztowne rośliny.

Kwiat — w dziedzinie starożytności o umilenie i wykończenie wnętrza naszych mieszkań i domów — gra najważniejszą rolę. Tak w bogatych ścianach, których komnaty perskie ścielą dywany, służąc za tło cennym antykom, lub artystycznym stylowym sprzętem, jak w skromnych pokoikach szczupłej siedziby ludzkiej były, są i będą zawsze tchnieniem uroku pełnem.

Skrzynki kwitnących pelargonij, zwieszająca się petuniją podsadzonych, w oknach mieszkań i na balkonach, zieleni starannie kultywowanych roślin doniczkowych, ciężkie wonne róże, pastelowe groszki pachnące, wiosną koronkowe gałęzie modrzewi, jesienią chryzantemy i cudownie ręką przyrody malowane liście o złocisto szkarłatnych tonach, to wraz z bogactwem wszystkich otaczających nas roślin i kwiatów najwierniejsi sojusznicy w cennem dziele wplatania piękna w życie.

W mieście, gdzie rozporządzamy jedynie kwiatami kupnemi, a dla wielu wręcz niedostępny zbytek stanowiącemi, trudniej roztoczyć bogaty urok kwietnej dekoracji, ale wieś, jej ogrody, łąki i pola są taką niewyczerpaną skarbnicą, takim bogatym rogiem obfitości, że nawet najprymitywniejsze ściany zamienić można w sliczne gniazdko przy pewnej dozie dobrej woli i starania.

Trudno zaprzeczyć, że kwietna dekoracja pochłania wiele czasu i starożytności, z których same dzieła zebrania i ułożenia bukietu należy może do najmniejszych. W ślad za nim jednak idzie zmienianie wody conajmniej dwa razy dziennie, przycinanie korzeni, w których łatwo wytwarza się proces gnilny i zakaża wodę w wazonach, a tem samem przyczynia się do prędkiego więdnienia, dalej odrzucanie kwiatów i liści, które więdnąc wcześniej, niż inne, pozbawiają bukiet estetycznego wyglądu, a muszą być usunięte w porę i zastąpione świeżemi. Wiem z doświadczenia, ile czynności te pochłaniają sobą czasu, ale kochając kwiaty nade wszystko nie waham się twierdzić, że nie zastąpi ich nic — nawet przepych i wyrafinowane w urządzeniu mieszkania wyszukanie.

Chcąc osiągnąć prawdziwie ładne i estetyczne efekty, należy zwrócić uwagę na połączenie kwiatów i tła, jakiemu służyć mają, na rodzaj wazonu, do którego nie każdy bukiet i nie każdy koloryt pasować będzie.

Łączne i polne kwiaty, wieńce traw, gałęzi, liście jesienne, kiście, wiosną kwitnących krzewów, slicznie wyglądają w zwyczajnych, lub barwnie malowanych garnkach glinianych, do których też dostosowują się harmonijnie malwy, płomienne nasturcje, maki polne i ogrodowe, jak i wszystkie kwiaty, które swoje na sobie noszą piętno. Róża pomimo wspaniałości i przynależności jej od wieków berła królowej kwiatów, równie pięknie wygląda w kryształowych czarach, w subtelnej pastelowej kopenhadzce, jak w najskromniejszym nawet wazoniku, ma ona dar podnoszenia uroku najcenniejszych nawet kielichów i podnoszenia do swej godności zwyczajnej gliny, czy terakoty. Jak ważnem jest umiejętne ustosunkowanie kwiatów do wnętrza i tła, zrozumimy najlepiej, stawiając naprzykład na stoliku, przykrytym barwnym pasiakiem o przeważającej barwie szkarłatu więź łą-

cznej firletki, czy malinowych w tonie astrów lub mieczyków. Kolory kwiatów i tła przez brak harmonji klóć się ze sobą, zamiast dodatniego dadzą wrazenie w najwyższym stopniu ujemne, przeciwstawmy temu pojęcie o pokoju utrzymanym w szaro niebieskim tonie, na tle ścian którego wykwiła więź cudownie amarantowych wiosennych tulipanów, lub gorąco łososiowych dalij, idąc dalej, wyobraźmy sobie szkarłatne maki w wazonie niebiesko malowanym, a niezapominajki w glinianym dzbanie, deseń którego tworzą ponsowe charakterystyczne rysunki z motywów ludowych czerpane. Zmieńmy tylko wazon, a efekt zamiast rażącego kontrastem, będzie harmonijny i estetyczny. To samo da się dostosować do gałązki cieplarnianych storczyków, uwięzionej w ciężkim zwyczajnym wazoniku, lub zwieszającej się ponad smukłym kształtem secesyjnego kielicha, o opalizującym kolorycie. W racjonalnych zestawieniach jest siła największego uroku.

Kwiaty oddają nam też pierwszorzędne i cenne usługi przy nakryciu stołu jadalnego. Rzadko dzisiaj spotykamy prawdziwie piękną zastawę, którą albo pogrzebały gruzy zgliszcz wojennych, albo też skromny nasz budżet zastąpić musiał zwyczajnym szkłem i porcelaną, lub nawet fajansem. Jeżeli jednak na śnieżną biel obrusa, którego świeżość stanowi zawsze o wykwincie nakrycia, rzucimy umiejętnie kwietną dekorację, zastąpi nam ona siłą estetycznego uroku przepych stylowego srebra, kryształów i cennych serwisów. Kwiaty winny znajdować się na każdym stole jadalnym, radziłabym jednak unikać zbyt częstego rozkładania ich wprost na obrusie, co łatwo plami bieliznę stołową, a przytem w mieście, gdzie kwiat należy do kosztownego luksusu, staje się nie dla każdego dostępnem. Stół można udekorować slicznie, stawiając pośrodku niską rozłożystą żardinierę, pełną kwiatów ciętych, a w zimowym sezonie, sadzić w niej wyjęte z doniczek hiacynty, primule lub paprocie. Efektownie wygląda też przybieranie stołu jadalnego maleńkimi wazonikami, które zdobne w jednakowe kwiaty stawiamy przy każdym nakryciu, starając się, aby harmonizowały z dekoracją środkowej żardinierki. Jesienią przesliczne efekty osiągamy, dekorując biel obrusa liśćmi o gorących barwach złota i czerwieni, oraz jagodami dzikiego wina, głógów, berberysu, czy wilczej jagody. Artystyczne wprost dekoracje stanowią empirowe wianki z pojedynczych listków truskawkowych układane, tem cenniejsze, że listeczki te jeszcze w listopadzie znajdujemy na grządkach i to w przeslicznych szkarłatnych cieniach. Niemniej uroczo wyglądają na śnieżnym tle obrusa wiotkie gałązki dzikiego wina, którego koloryt jest może jesienią najsubtelniej cieniowany, ładne też są i dekoracyjne sumaki, mahonie, klony, buki i dęby, które tworzą całą gamę barw, mieniających się brązem, złotem i purpurą.

Gdy kroczę tak wślad za tyłu nam wspólną bukieto-manją po rośnych łąkach, polnych przydrożkach, gęstwinie leśnej i ogrodowych kwietnych grzędach, wyobraźnia, ta misterna pani, co tyle w szarzyźnie życia jasnym wplata promieni, zawiódła mnie do najcenniejszego królestwa — własnego ogródka, o który dzisiaj tyle z nas walczy, składając grosz do grosza, aby na stare chociaż lata w cichym, maleńkim domku, obrzeżonym skrawkiem ziemi, skołatana złożyć głowę. Widzę siłą marzeń i śnień najśmielszych wiedziona, takie cudowne królestwo kwietnej ciszy, coraz częściej na szarem tle miast naszych wykwiatające, a przechodząc u bram takiego rajku, czuję niemiłosierną chęć zastukania do furty, która od świata go odgranicza i gawędzenia z tą wybraną, której ręką ona jest rozkosz pracy na własnej ziemi. Chciałabym przysiąc w cieniu młodziutkich drzewek, pierwszą



zaledwie wiosną oddychających, bajkę snuć o krzaku pnącej róży po niskich ścianach tego maleńkiego domku się wijącej, o szmaragdowych, miniaturowych trawniczkach, dzierganych wzorzyście mozaiką różnokolorowego kwiecia, o winnym krzewie co się do południowej tuli ściany, o fioletowych oczach nad wszystko wonnych fiołków, które jesienią zdobne szronem najcenniejsze są wśród kwiatów tyłu, bo pierwszy promienny uśmiech wiosny i ostatni wonny pocałunek w sobie koncentrują lata. Chciałabym uczyć te ręce miłościwej dla posiadanych cudów pieśczoży, najczulszej opieki, jaką otoczyć winne sztamy róż, ma gnojli delikatne krzewy, cebulki hiacyntów i tulipanów, którym na zimę z suchych liści ciepłą trzeba słać pościółkę, grządki urodzajnych truskawek, zagonki pod liczne warzywa jesienią użyźniane, rośliny pnące, co osnuwając płoty, odgraniczają pachnącym murem od świata, który się zaczyna i kończy do-

koła tych ścian bezcennych, a ukochanych. Czy wiecie wy, którym dane jest największe błogosławieństwo losu, jak kochać i cenić ten własny dom, tę kwietną grzędę? Czy w sercach waszych żyje jeszcze oddźwięk niespokojnego rytmu życia, co tuli się po jakichś obcych szarych kątach i ciągle jest „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem“ i nie wie, gdzie jutro na sen skołataną złoży głowę? A kiedy ostatnia na zegarze bytu mu dzwoni godzina, zamiast wonnej smugi różanej woni, którą królewski kwiat żegna ręce pieściwe i serce, które go za życia kochało, zamiast cichego świergotu przelotnego ptaka, co się na jaśminowym krzaku zatrzymał na chwilę, żegna go zduszony gwar miejskiego cuchnącego podwórka i szarżyna murów, przez które stęskniony wzrok na lotnych skrzydłach wyobraźni tyle razy wędrował w promienny świat tęczowych baśni...

Zakopane w sierpniu.

N...ska.

JAK USTRZEC SIĘ OD UKĄSZENIA ZŁOŚLIWYCH OWADÓW I JAK TE UKĄSZENIA LECZYĆ

Piękne dni letnie i jesienne psują nam często naprzykrzone owady, złośliwością swoich ukąszeń zatruwając niejedną miłą wycieczkę. Są między nimi takie, których ukłucie sprowadza niebezpieczne a czasem nawet śmiertelne skutki. Jednym z najzjadliwszych letnich prześladowców jest bąk, którego ukąszenie powoduje bolesne wrzody, a nawet karbunkul. Zapomocą rozpalonego do czerwoności nad spirytusową maszynką przestudzonego cokolwiek końca cienkiej stalowej igielki, usuwamy żądło tego jadowego owada, — smarując lekko ranę pozostałą amoniakiem, wodą utlenioną, albo jodyną. Również złośliwą jest osa, której ukąszenie choć nie tak niebezpieczne jak bąka, jest przyczyną nieznośnego piekącego bólu, zaczerwienienia i silnego opuchnięcia. To też natychmiast po ukąszeniu trzeba usunąć żądło wraz z gruczołkiem, który zwykle przy nim zostaje, z obawy, aby nacisnąwszy pęcherzyk nie sprowadzić nowego wylewu jadu powiększającego zakażenie. Po wyjęciu żądła miejsce ukłute przemyć wodą z octem, amoniakiem, lub wodą Burowa. We wrześniu osy bywają tak natarczywe, że prosto uwolnić się od nich nie sposób. Bawiąc kiedyś w tym miesiącu, w Krynicy byłam oblegana przez nie, uniemożliwiały mi spędzanie najpiękniejszych dni na werandzie, a zwłaszcza spożywanie w ciepłym, a niepalącym słońcu jesiennym obiadów i podwieczorków. Wystarczyło, by usłyszały dźwięk naczyń i poczuły zapach potraw, aby zjawiły ich się gromady całe, napełniając strachem najodważniejszego letnika i przymuszając go do ustąpienia z placu. Taka nadmierna ilość os dowodzi, że gdzieś w pobliżu mają one gniazda, które łatwo znaleźć śledząc kierunek ich lotu. Gniazdo w formie kuli, choć jest arcydziełem w swoim rodzaju, trzeba zniszczyć w sposób następujący: nad wieczorem, skoro wszystkie osy zgromadzą się w niem, osłoniwszy starannie twarz i szyję chustką — w grubych rękawiczkach — przez otwór znajdujący się w górze, wlać litr benzyny, nafty, lub terpentyny — następnie nasypać grubo ziemię, a po 24 godzinach, zachowując na wszelki wypadek te same ostrożności, odkopać gniazda, aby przekonać się czy wszystkie jego mieszkanki wyginęły. O wiele trudniej jest zatruć osy

gnieźdzące się w drzewie. Wtedy trzeba tak zręcznie nakryć otwór, aby pomimo to móc wprowadzić wewnątrz wyziwy siarki, benzynę lub terpentynę. Operację tę najlepiej przeprowadzić w dzień pochmurny, dżdżysty nawet, kiedy osy są mniej czynne. Bolesnym choć nie niebezpiecznym jest również ukąszenie pszczoły — tego jednak łatwo uniknąć, bo pszczoły nie napadają na człowieka, ale używają ukąszenia jedynie jako ostatecznego środka obrony, po którego zastosowaniu giną.

To też tak dla uniknięcia bólu, jak dla nieprzyczynienia się do upadku jednego z członków tego pracowitego, idealnie zorganizowanego społeczeństwa, nie trzeba zbyt zbliżać się do ulów, szczególnie w czasie podbierania miodu nie stawać na drodze, nie opędać się gwałtownie spotkawszy pszczołę na robocie, a można być spokojnym, że krzywdy nie zrobią.

Na wypadek ukłucia trzeba natychmiast żądło wyjąć, a miejsce po nim posmarować olejkami kamforowym, lub migdałowym. Ugryzienie przez liszkę, rzadsze od innych, niemniej bywa bolesne — zwłaszcza liszki szare, pokryte całe włoskiem, w sprzyjających dla siebie latach, w wielkich ilościach obsiadające dęby i topole, przez dotknięcie sprowadzają, jak po sparzeniu pokrzywa, swędzenie i wyrzuty, trwające czasem dni kilka. Uspakajają to swędzenie zapomocą obmycia obolałego miejsca spirytusem i przyłożenia kompresu z wody gulardowej. Najnieznośniejszym z prześladowających ludzkość owadów jest komar w różnych swoich odmianach, z których niejedne są rozsadanikami groźnych chorób, jak malarja, żółta febra i innych. Wszędzie gdzie są błota i wody stojące komary rozwijają się bardzo szybko w olbrzymich ilościach. Nietylko jednak sadzawki i rowy napełnione gęstą stojącą wodą służą rozwojowi komarów, wystarczą kałuże w pobliżu, porzucone skorupy z naczyń kuchennych i stołowych, pudełka po konserwach, czerepy z butelek, aby legły się obficie. To też trzeba starannie unikać gromadzenia tych przedmiotów, utrzymywać porządek wzorowy naokoło domu — zasypywać blizkie kałuże. Wszelkie zbiorniki wody służącej do prania, podlewania, jak beczki, konwie, wanny drewniane, raz na miesiąc conajmniej wypróżnić i wymyć

naftą. Naczynia, w których trzymamy wodę do użytku wewnętrznego, to jest do picia i gotowania, nie mogące podlegać temu systemowi — powinny już w tydzień być wypróżnione i wystawione na działanie powietrza i promieni słonecznych. Poczwaraki komarów giną w tych warunkach w ciągu kilku minut, pozostawiając zatem naczynia próżne na godzinę, możemy bezpiecznie napełnić je świeżą wodą. Nie mogąc osuszyć dołów i kałuż z obrzydliwego, nie raz nawet cuchnącego błota trzeba je chociaż unieszkodliwić zapomocą nafty — której mała łyżeczka wystarczy na metr kwadratowy powierzchni, najlepiej wyszprycować kałużę ręczną sikawką; nie mając potrzebnego narzędzia, przywiązać ścierkę do długiej tyczki, maczać w przygotowanym płynie i przeciągać ją tam i z powrotem po powierzchni. Powtarzając tę czynność co dwa tygodnie ustrzeżemy się w znacznej części od plagi komarów, i wieczory na werendzie spędzane będziemy mieli zabezpieczone od ich przesładowania. Przeciwno ukłuciu przez komary trzeba używać następującego roztworu: na dwie garstki lawendy nalać pół litra spirytusu, dodać 1 gr. kwassji, niech tak postoi. — Przed każdym użyciem dobrze zmacić. Obmywać tym płynem ciało, nie obcierając, a komary nieznoszące zapachu lawendy uciekać od niej będą. W pokojach dobrze jest rozpylać olejek eukaliptusowy, albo wieczorem zapaliwszy małą lampeczkę na-

kryć ją abażurem zrobionym ze słoika w kształcie rurki posmarowanej z zewnątrz gęstym miodem, lub lepem, do którego komary lecąc do światła przylepią się. Jeżeli pomimo tych wszystkich ostrożności komary pogryzą różowe buziaki naszych pociech, nie trzeba czekać, aż drapiąc swędzące miejsca zeszepecą się do niemożliwości, ale prędko przyłożyć kompres z lekko osolonej, lub gulardowej wody, a bąble i swędzenie zginą natychmiast, byle tylko nie były drapanie.

Chodząc po polach i lasach narażeni bywamy na ukąszenia przez małe robaczki, jak mrówki na przykład, które choć drobne, tna, zwłaszcza w nogi, niemiłosiernie. Posmarowanie lekko skóry naftą natychmiast ból koi, a odór jej odstrasza nowych napastników. Nie mogąc zawsze mieć pod ręką tego środka zbawionego w braku niego trzeba ratować się ołówkiem mentolowym, albo rurką z amoniakiem, które zawsze przy sobie nosić należy. W razie ukąszenia przez złośliwą muszkę, pajaka i t. p. trzeba natychmiast wypalić zakażone miejsce amoniakiem, lub jodyną i nie zwłócząc udać się do lekarza. Takie jadowite ugryzienia poznać łatwo po mocnem zasinieniu i czerwonych pręgach rozchodzących się jak promienie od ukłucia. Nacieranie i okładanie liśćmi rośliny, babką zwanej, przy każdym ugryzieniu, a zwłaszcza pszczoły i osy, momentalnie ból usmierza. J. S.

GRUSZKI

Niezwykły w tym roku urodzaj gruszek zmusza panie do racjonalnego i prędkiego ich zużytkowania, szczególnie tyczy się to gatunków nietrwałych, wczesnych, których cena jest niska a przewóz trudny nie opłaca się wcale. Przedewszystkiem, żeby gruszki były ładne i trwałe, należy je ostrożnie zdejmować z drzew, każdą sztukę oddzielnie, — a nie trząść wprost z drzewa na ziemię, jak to robi większość dzierżawców sadów owocowych.

Do zdejmowania gruszek z drzew można użyć specjalnej torebki, osadzonej na długim kijku. Torebka ta, przypominająca kształtem siatki na motyle, używane przez dzieci, robi się z jakiegoś grubego miękkiego materiału, naprzykład barchanu, flaneli, sukna, w ostateczności z grubego płótna, przyszywa do kołka z grubego drutu i umocowuje obok kija, tak aby na jakiś cal od niego odstawała, a to w tym celu, aby gruszka spadając do woreczka, o kij się nie uderzyła. Gruszki w ogólności słabo siedzą na gałęziach, wystarczy potrącenie szypułki drutem od torebki, aby gruszka od gałązki się oddzieliła. Wysoki gatunek towaru, otrzymany przy takim sposobie zbierania, sownie opłaca czas stracony, ewentualnie roboczną na to użytą. Wszystkie gatunki gruszek, mające być sprzedane lub przechowane na czas dłuższy, należy zbierać, kiedy owoc jest jeszcze twardy. Jeżeli po przekrojeniu gruszki jeszcze zielonej i twardej, ziarenka w niej są zupełnie wykształcone i jasno brunatne, gruszki można z drzewa zdejmować. Zupełnie dojrzałe gruszki — takie, co to upadając nieraz gniotły się ze zbytdu soku, możemy zbierać tylko na natychmiastowy własny użytek. Nasze gospodynie, wiejskie i miastowe, mają wszystkie zwyczaj układania owoców na słońcu — czy to w pokoju, czy też w cieplarni — aby doszły, otóż, w zastosowaniu do gruszek, sposób ten nie jest dobry. Gruszka dojrzewająca na słońcu staje się zawsze

prawie mączystą lub też łatwo się ulega, zależnie od gatunku. Gruszki zwykle najlepiej ułożyć w kilka rzędów, na półkach, w ciemnym składzie, gdzie często przebierać, aby usunąć zaczynające się psuć, a ślicznie dojda. Piękne, gatunkowe gruszki, potrzymać noc w składzie aby „wypocły się“, poczem każdą zawinąć w jednakowy papier, złożyć nie uderzając ich jedna o drugą, do dużych koszów i przechowywać w ciemnym składzie lub suchej piwnicy. Gruszki przechowane temi sposobami stają się soczyste, masłowate i są dużo trwalsze od dojrzewających na słońcu. Nawet przy małych ilościach gruszek, kupowanych w miejskich gospodarstwach, lepiej zawsze trzymać gruszki w ciemnym schowaniu.

Nie będę tu poruszała kwestji pakowania gruszek do przesyłki, do handlu, — przypomnę jednak paniom, że gruszki tyrolskie, francuskie a dawniej krymskie nigdy nie były wysyłane inaczej, jak w niedużych koszykach, — gdyż żaden bodaj owoc nie jest tak czuły na zgniecenie, — u nas zaś często popełniają błąd pakowania gruszek do dużych skrzyń, tak jak się pakuje jabłka lub węgierki, stąd mamy w handlu tyle gruszki plamistych — a każda plama od uderzenia pochodząca, za dni parę gnć zaczyna. W tym roku jabłka nie obrodziły, natomiast grusz jest tyle, że w bardziej oddalonych od miasta punktach kraju, żadnego zbytu na nie niema. Można je zużytkować robiąc z nich susz. Nawet zwykła suszona gruszka, nieobierana i suszona w piecu, po chlebie lub na prostych blachach, jest smaczna, — o ile jest zrobiona z owocu słodkiego i dojrzałego, nawet nieco uleżałego. Gruszki takie znajdują chętnych nabywców, a na północy kraju, naprzykład na Pomorzu, gdzie drzew gruszkowych niema wcale, są bardzo poszukiwane. Lepszy susz, w wyglądzie i smaku nieustępujący gruszkom amerykańskim, przyrządzić można z gru-

szek obieranych i oparzanych przed suszeniem, dokładne sposoby przyrządzania takiego suszu, panie tem się interesujące, mają w broszurze p. Merynga, poświęconej specjalnie przetworom owocowym. Suszenie gruszek jest naturalnie najłatwiejszem, masowem ich zużytkowaniem. Poza suszeniem jednak można je zużytkować na tysiączne sposoby. Więc marmelada i sery z gruszek, nietylko w niczem nie ustępują jabłecznym lecz są od nich wykwintniejsze w smaku, a jeżeli są w małym użyciu, to tylko dlatego, że w latach normalnych, urodzaje gruszek są o wiele razy kosztowniejsze od jabłek — stosunek w tym roku jest jednak odwrotny, — jabłek mamy niedużo, a gruszek nadmiar, ceny więc odpowiednio będą się kształtowały. Na użytek domowy można też robić wino gruszkowe, przyczem przy wyrobie jego potrzeba bardzo mało dodawać cukru, gdyż gruszki mają tyle cukru w sobie, że wino nabiera dużo mocy, taki grusznik paroletni przypomina w smaku wino hiszpańskie. Nalewka na aromatycznym gatunku gruszek jest też wyborna, należy nalewać gruszki czystym spirytusem, gdyż są bardzo soczyste i nalane wódką dałyby bardzo słabą nalewkę. Z konfitur gruszkowych, które ogromnie urozmaicić można, używając różnych gatunków i różnych rozmiarów owocu, bodaj że najsmaczniejsze są, cenione tak przez nasze prababki, gruszki w miodzie. Czy to przechowane w syropie, czy to wyjęte z niego i obsuszone są wyborne. W ogólności ze wszystkich owoców krajowych gruszki najbardziej się nadają do wyrobu suchych konfitur — „owoców kandyzowanych“.

Kompoty zwyczajne, gotowane „au bain Marie“ lub w Weck'ú, albo zalewane w słojach „pechem“ po uprzednim ugotowaniu w syropie i zupełnym ustawieniu, są nieocenionym reursem prędkich legumin w zimie. Gruszki w occie są doskonałym dodatkiem do pieczystego i zwierzyny. Nakoniec pomysłowa gospodyni znajdzie dziesiątki sposobów zużytkowania tego owocu w leguminach, urozmaicając je tak, aby nie znużyć jednostajnością domowników. Mniej słodkie gatunki, rozmaite „baby“, „panny“ i inne ładnej nazwie a małej wartości smakowej można nawet używać na jarzyny.

Pani Elżbieta.

gotować, aż gruszki zmiękną i syrop się wystudzi. Gruszki wyjąć, ułożyć na głęboki, metalowy półmisek, lub salaterkę z ogniotrwałej porcelany. Do gęstego syropu dodać drugie tyle najlepiej, świeżej, gęstej śmietany, zalać tem gruszki, aby dobrze były pokryte i wstawić w niezbyt gorący piec. Trzymać w piecu tak długo, aż się po wierzchu uformuje cienka rumiana skórka, a sos z białego stanie się nieco przezroczysty. Podawać na gorąco, lub też na zimno, zawsze jest równie wyborne.

SZARLOTKA Z GRUSZEK.

Ugotować kilo gruszek, obranych z łupin i pokrajanych na ćwiartki, w lekkim syropie, biorąc szklanek cukru na szklanek wody, — gdy gruszki miękkie, odcedzić je z syropu i dać dobrze ostygnąć. Z pół kilo mąki, ćwierć kilo masła, lub dobrego świeżego szmalcu, szklanki cukru i jednego jajka, zagnieść krusze ciasto. Ciastem tem wyłożyć formę wysmarowaną masłem i wysypać tartą bułeczką. Na nie ułożyć grubą warstwę gruszek, posypać skórką cytryny utartą na tarce, przykryć ciastem, dobrze złączyć brzegi, aby przy pieczeniu sok nie wypłynął, — cukru do gruszek sypać już nie trzeba, są dosyć słodkie po ugotowaniu w ulepie. Piec jak zwykle szarlotkę w niezbyt gorącym piecu. Syrop powstały można użyć do gotowania kompotu z gruszek lub innego owocu.

GRUSZKI Z MELONEM.

Kilo bardzo dużych gruszek, (6 sztuk na kilo) twardszego gatunku, obrać bardzo delikatnie ze skórki, przekrajać na połówki, łyżeczką do kartofli usunąć ziarnka i wybrać około nich tyle środka, aby się uformowała jamka, wielkości dużego włoskiego orzecha. Ugotować te gruszki w lekkim syropie, biorąc szklanek wody na szklanek cukru. Gdy gruszki zupełnie miękkie, odcedzić je, ułożyć na półmisek otworami do góry. Do syropu z gruszek wsypać drugą szklanek cukru, zagotować na gęsty syrop. Tymczasem obrać z łupiny i pokrajać drobiuchno ćwierć kilo aromatycznego, dojrzałego melona, włożyć go w syrop i smażyć na wolnym ogniu, wcisnąć sok z pół cytryny, lub kawianą łyżeczkę cytrynowej soli, smażyć na wolnym ogniu, aż melon się stanie przezroczysty. Gruszki ładnie ułożyć na kryształową kompotjerę, otwory napełnić smażonym melonem, resztę syropu wylać na gruszki, zastudzić mocno, jeżeli można na lodzie, i podawać.

GRUSZKI NA JARZYNĘ.

Mniej słodkie, twardsze gatunki gruszek można używać na jarzyny. Obrac gruszki, poprzekrawać na połówki, obgotować w wodzie czystej, lub z dodaniem niedużej ilości cukru. Gdy pieczeń wołowa, barania, lub wieprzowa kończy się piec w piecu lub dusić w rondlu, włożyć do sosu gruszki i dusić je wraz z mięsem, polewając sosem od mięsa przez kwadrans czy dwadzieścia minut. Stanowią one smaczną jarzynę, dla osób lubiących różnorodność w potrawach



GRUSZKI W ŚMIETANIE.

Dwie kompotowe gruszki obrać z łupinek, przekrajać na połówki, — wrzucając w miarę obierania w zimną wodę, aby nie czerniały. Zrobić zwykły syrop, biorąc szklanek cukru na szklanek wody, zagotować, włożyć weń gruszki i kawałek nieduży wanilii. Syropu powinno być tylko tyle, aby gruszki objęło,



KARCZOCHY NADZIEWANE GRZYBAMI

Karczochy wyplókać starannie, uciąć ostrym nożem kolące końce listków, uciąć gładką łądę, mocną metalową łyżką usunąć włókna wewnętrzne, nie łamiąc karczocha, — wrzucić w zimną wodę. Na sześć do ośmiu dużych karczochów wziąć ćwierć kilo pieczarek lub też młodych grzybów prawdziwych, usiekać drobno. Dużą cebulę drobno usiekana przesmażyć w łyżce masła, dodać grzybki, dusić aż zmiękną, osolić, popieprzyć, wsypać tyle tartej bułeczki, aby farsz się trzymał. Farszem tym nadziewać środki karczochów, obwiązać mocną nitką. Nelsonkę lub płaski rondel z pokrywą wyłożyć cienkimi płatkami słoniny, podlać rosołem, aby objęło, postawić na gwałtowny ogień, aby płyn się wygotował szybko do trzeciej części objętości. Karczochy wyjąć na półmisek, do sosu wcisnąć pół cytryny i wlać kieliszek maderly lub innego mocnego wina, zagotować raz i podać w sosserce. Półmisek obłożyć grzankami z bułki zrumienionymi w maśle, lub „fleuronami“ z listkowego ciasta.

BAKŁAŻANY FASZEROWANE

Mało u nas używana jarzyna, jest do nabycia w większości handlów kolonialnych. Duże bakłażany uciąć około łądygi, kawową łyżeczką usunąć ziarnka, osolić lekko wewnątrz każdą sztukę. Na sześć do ośmiu bakłażanów wziąć pół kilo miękkiej cielęciny, przepuścić dwa razy przez maszynkę wraz z dwiema bułeczkami wymoczonymi w mleku, dodać kawałek masła, parę żółtek lub jedno duże, całe jajko, osolić, dodać nieco gałki muszkatołowej. Bakłażany wytrzeć czystą szmatką wewnątrz, nadzieć tym farszem, otwór założyć płatkami świeżej słoniny. W płytkim rondlu roztopić kawałek słoniny lub łyżkę masła, na to ułożyć bakłażany, przykryć pokrywą i wstawić w piec lub pod blachę. Dusić, polewając sokiem, który wypuszcza, aż zupełnie zmiękną, — gdyby soku własnego miały mało, podlać rosołem. Wyjąć z rondla, bardzo ostrym nożem, poprzekrawać na połówki, ułożyć na półmisku tak aby farsz był widoczny.

Do rondla wsypać łyżkę mąki, rozmieszać, zagotować raz, rozprowadzić rosołem do gęstości zwykłego sosu, wlać parę łyżek śmietany, raz jeszcze zagotować, polać ułożone na półmisku bakłażany i podawać gorące.

KOTLETY CIEŁĘCE W CIEŚCIE LISTKOWEM

Sześdziesiąt deka cielęciny bez kości i dziesięć deka łoju cielęcego nerkowego przepuścić dwa razy przez maszynkę, dodając poraz drugi dwie bułeczki, wymoczone w mleku. Dodać duże jajko, łyżkę masła i wyrabiać masę tak długo, aż od ręki odstanie. Osolić, dodać nieco białego pieprzu lub gałki muszkatołowej, uformować z tego [dziesięć cienkich kotlecików. Ciasto francuskie, listkowe, — najlepiej obrzynki pozostałe przy robieniu większej ilości pasztecików, rozwałkować jaknajcieniej, pokrajać w kawałki dwa razy większe od kotletów, zawinąć starannie, zacisnąć szczelnie brzegi, ułożyć na brytwannie, posmarować żółtkiem i wsadzić w bardzo gorący piec. Po dwudziestu minutach, gdy ciasto już się upiecze, zmniejszyć ogień, lub też brytwannę postawić na cegle i z wierzchu kotlety przykryć wilgotną bibułą i trzy-

mać jeszcze drugie dwadzieścia minut, aby mięso wewnątrz doszło. Do takich kotletów podaje się mocny sos buljonowy, ostry kaparowy, korniszonowy lub rumiany z cytryną.

Pani Elżbieta.

* * *

Zawiadamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie od 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 38

853. Suknia i odpowiednia do niej peleryna z kasha koloru bois de rose, przybrane haftem.
854. Kostjum granatowy, przybrany czarnym.
855. Suknia z fularu deseniowego, gładkiego i czarne jedwabne palto.
856. Suknia z crepe de chine'u deseniowego i gładkiego.
857. Suknia wełniana przybrana haftem.
858. Płaszczek z pelerynką dla dziewczynki ośmioletniej.
859. Kostjum z wełny gładkiej i w kratę.
860. Suknia z kasha piaskowego — kamizelka sukienka ivoir.
861. Suknia z lila georgette przybrana guziczkami.
862. Suknia z popeliny rezedowej przybrana wstążką gros grain
863. Suknia z plisowaną spódniczką z materiału w kratę.
864. Palto szare sukienne — dół układany w fałdy.
865. Kostjum granatowy, przybrany futerkiem
866. Palto z kasha brązowego przybrane futrem.
867. Kostjum z angielskiej wełny przybrany guziczkami.
868 — 869 — Dziecinne czepeczki.
870. Sukienka z dwóch materiałów dla dziewczynki dwunastoletniej.
871. Fartuch z płócienka w kratę.
872. Fartuch z satyny deseniowej lamowany ciemną plisną.
873. Sukienka z wełny w kratę dla dziewczynki trzynastoletniej, przód z sukna w jednym kolorze.
874. Wzór na poduszkę w formie wachlarza — haft kolorowy.
875. Wzór na poduszkę — aplikacja wielkość nat. 37 x 53 cm.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:
palto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
suknia zwyczajna „ 2,50
bluzka „ 2,00
formy dziecinne „ 2,00
bielizna „ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:
obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.